

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HONORIUSZ BALZAC

PROBOSZCZ Z TOURS

**Przełożył
Tadeusz Żeleński – Boy**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Rzeźbiarzowi David

Trwanie dzieła, na którym kreślę Twoje nazwisko, dwukrotnie sławne w tym stuleciu, jest nader problematyczne: podczas gdy Ty ryjesz moje na brązie, który przeżywa narody, nawet choćby był bity tylko pospolitym młotem mincarza. Czy numizmatycy nie będą zakłopotani tyloma koronowanymi głowami w Twojej pracowni, kiedy wśród popiołów Paryża odnajdą owe istnienia uwiecznione przez Ciebie ponad trwanie ludów, istnienia, w których oni będą się dopatrywali dynastyj? Tobie tedy przypadł ten boski przywilej, mnie wdzięczność.

DE BALZAC

Z początkiem jesieni r. 1826 księdza Birotteau, główną osobę tego opowiadania, zaskoczyła ulewa w chwili, gdy wracał z wieczornej wizyty. Przebiegł tedy tak szybko, jak mu pozwalała jego tusza, pusty placyk, zwany le Cloitre (Klasztor), znajdujący się za chórem kościoła Świętego Gracjana w Tours.

Ksiądz Birotteau, mały i krótki, o apoplektycznej budowie, liczący około sześćdziesięciu lat, przebył już kilka ataków podagry. Otóż ze wszystkich drobnych niedoli ludzkiego życia wypadkiem, do którego dobry ksiądz miał największy wstręt, było nagłe skropienie trzewików z szerokimi srebrnymi klamrami oraz przemoknięcie podeszew. W istocie, mimo flanelowych szmatek, w które stale zawijał nogi z iście księzą dbałością o swoją osobę, zawsze wrażliwy był na wilgoć: nazajutrz podagra dawała mu niechybne dowody swej pamięci. Mimo to, ponieważ bruk na placyku jest zawsze suchy, ponieważ ksiądz Birotteau wygrał półczwarta franka u pani de Listomère, zniósł z rezygnacją deszcz od połowy placu arcybiskupiego, gdzie zaczęło padać obficie. W tej chwili pieścił zresztą swoje marzenie, pragnienie hodowane od dwunastu lat, klasyczne marzenie księdza! Pragnienie to, które nawiedzało go co wieczór, zdawało się bliskie ziszczenia: słowem, zbyt szczelnie zawijał się w pelerynkę kanonika, aby czuć wilgoć. Tego wieczora osoby zbierające się stale u pani de Listomère niemal zaręczyły mu, że otrzyma kanonię – właśnie w kapitule katedralnej Św. Gracjana – dowodząc mu, że nikt nie zasługuje na tę posadę tyle, co on, i że jego długo pomijane prawa są tym razem niezaprzeczone. Gdyby był przegrał w karty, gdyby się był dowiedział, że ksiądz Poirel, jego rywal, ma zostać kanonikiem, deszcz wydałby się pocziwinie o wiele chłodniejszy. Może byłby złorzeczył istnieniu. Ale znajdował się w jednym z owych rzadkich momentów, kiedy różowe myśli pozwalają o wszystkim zapomnieć. Jeśli przyśpieszył kroku, to jedynie machinalnie. Prawda, owa prawda tak nieodzowna w historii obyczajów, każe wyznać, że nie myślał ani o ulewie, ani o podagrze.

Niegdyś istniały w Klasztorze od strony ulicy Wielkiej liczne domy zamknięte wspólnym ogrodzeniem, należące do katedry i mieszczące kilku dygnitarzy kapituły. Od czasu zagarnięcia majątków kleru miasto uczyniło z przejścia, które dzieli te domy, ulicę nazwaną Psalette, która prowadzi od Klasztoru do ulicy Wielkiej. Nazwa ta wskazuje dostatecznie, że tam mieścił się niegdyś wielki kantor, jego szkoły i cały jego dwór. Lewą stronę tej ulicy wypełnia jeden dom, przez którego mury przechodzą żebra wspierające kościół. Żebra te tkwią w ogródku koło domu, tak iż trudno by rozstrzygnąć, czy katedrę zbudowano dawniej, czy po tej starodawnej siedzibie. Ale badając arabeski i kształt okien, łuk drzwi i szerniałą od starości fasadę archeolog pozna, że zawsze stanowiła ona część wspaniałej budowli, z którą jest zespolona.

Antykwariusz (gdyby taki istniał w Tours, jednym z najmniej oświeconych miast we Francji) mógłby nawet rozpoznać u wnijścia pasażu do Klasztoru ślady arkady, która tworzyła niegdyś portyk owych księżyich mieszkań i która musiała harmonizować z ogólnym charakterem budowli. Położony na północ od Św. Gracjana dom znajduje się stale w cieniu rzucanym przez tę wielką katedrę. Czas oblekł ją czarnym płaszczem, wycisnął na niej swe zmarszczki, posiał swój wilgotny chłód, swoje mchy i wysokie zioła. Toteż mieszkanie to jest zawsze spowite w głęboką ciszę, przerywaną jedynie dźwiękiem dzwonów, śpiewami kościelnymi, przenikającymi mury kościoła, lub krakaniem kawek

gnieźdzących się w dzwonnicy. Zakątek ten to pustynia kamienna, samotna, pełna wyrazu, gdzie mieszkać mogą jedynie istoty sprowadzone do zupełnej nicości lub obdarzone olbrzymią siłą ducha.

W domu, o którym mowa, mieszkali zawsze księża, a należał on do starej panny nazwiskiem Gamard. Posiadłość tę nabył od narodu w czasie Terroru¹ ojciec panny Gamard; ale ponieważ od dwudziestu lat stara panna wynajmowała ją księżom, nikomu nie przyszło na myśl gorszyć się za Restauracji, że dewotka posiada realność pochodzącą z tego źródła. Może duchowni przypuszczali, że panna Gamard ma zamiar zapisać dom kapitulę, świeccy zaś nie widzieli zmiany w jego przeznaczeniu.

Ksiądz Birotteau kierował się tedy ku temu domowi, gdzie mieszkał od dwóch lat. Mieszkanie to było niegdyś – jak obecnie pelerynka – przedmiotem jego pragnień i jego *hoc erat in votis*² przez jakich dwanaście lat. Być pensjonarzem panny Gamard i zostać kanonikiem, to były dwie wielkie sprawy jego życia; w istocie określają one dość ściśle ambicję księdza, który czując się niejako pielgrzymem w drodze ku wieczności, może pragnąć na tym świecie jedynie dobrego legowiska, dobrej kuchni, schludnej odzieży, trzewików ze srebrnymi klamrami, rzeczy wystarczających dla potrzeb zwierzęcych; kanonii zaś dla zadowolenia miłości własnej, tego szczególnego uczucia, które zaniesiemy z sobą pono aż przed oblicze Boga, skoro istnieją stopnie pomiędzy świętymi. Ale pożądanie mieszkania, obecnie zajmowanego przez księdza Birotteau, owo uczucie tak blade w oczach świata, było dlań całą namiętnością, namiętnością pełną przeszkód i – jak najbardziej zbrodnicze namiętności – pełną nadziei, upojeń i wyrzutów.

Rozkład i charakter domu nie pozwalały pannie Gamard mieć więcej niż dwóch pensjonarzy. Otóż mniej więcej na dwanaście lat przed dniem, w którym Birotteau rozgościł się u starej panny, podjęła się ona hodować w zdrowiu i weselu księdza Troubert i księdza Chapeloud. Ksiądz Troubert żył, ksiądz Chapeloud umarł, a Birotteau zajął natychmiast jego miejsce.

Nieboszczyk ksiądz Chapeloud, za życia kanonik u Św. Gracjana, był serdecznym przyjacielem księdza Birotteau. Za każdym razem, kiedy wikary zaszedł do kanonika, stale podziwiał mieszkanie, meble i bibliotekę. Z tego podziwu zrodziła się pewnego dnia żądza posiadania tych pięknych rzeczy. Niepodobieństwem było księdzu Birotteau zdławić to pragnienie, które często zadawało mu straszny ból, skoro pomyślał, że jedynie śmierć najlepszego przyjaciela może zaspokoić to ukryte, ale wciąż rosnące pożądanie. Ksiądz Chapeloud i jego przyjaciel Birotteau nie byli bogaci. Obaj synowie chłopscy, nie mieli nic poza skąpą księżą płacą, szczupłe zaś oszczędności poszły na przetrwanie nieszczęsnej doby rewolucji. Kiedy Napoleon przywrócił obrządek katolicki, zamianowano księdza Chapeloud kanonikiem Św. Gracjana, a księdza Birotteau wikariuszem katedralnym. Wówczas Chapeloud wprowadził się do panny Gamard. Kiedy Birotteau odwiedził kanonika na nowej siedzibie, ujrzał mieszkanie bardzo wygodnie urządzone; ale nie widział w nim nic więcej. Początek tej żądzy podobny był do szczerzego uczucia, zaczynającego się niekiedy u młodego człowieka chłodnym podziwem dla kobiety, którą później pokochał na zawsze.

¹ Terror – okres rewolucji francuskiej trwający od upadku żyrondistów (31 maja 1793) do upadku Robespierre’a (27 lipca 1794); zaznaczył się zaciętą walką z kontrrewolucją.

² *Hoc erat in votis* (łac.) – To było moim pragnieniem (początek jednej z satyr Horacego).

Mieszkanie to, do którego wiodły kamienne schody, znajdowało się w części domu położonej od południa. Ksiądz Troubert zajmował parter, a panna Gamard pierwsze piętro od frontu.

Kiedy Chapeloud objął swoje mieszkanie, pokoje były nagie, a sufity czarne od dymu. Kamienny i dość grubo rzeźbiony kominek nigdy nie był malowany. Za całe urządzenie biedny kanonik ustawił łóżko, stół, kilka krzeseł i tych niewiele książek, które posiadał. Mieszkanie podobne było do ładnej kobiety w lachmanach. Ale kiedy w parę lat później pewna stara dama zapisała księdzu Chapeloud dwa tysiące franków, obrócił tę sumę na zakup dużej dębowej biblioteki, pochodzącej z zamku rozszarpanego przez Czarną Bandę³, a uderzającej rzeźbami godnymi podziwu artystów. Ksiądz nabył tę szafę skuszony nie tyle niską ceną, ile zupełną zgodnością jej wymiarów z wymiarami sieni. Oszczędności jego pozwoliły mu wówczas odnowić salonik, dotąd biedny i zaniedbany. Wywoskowano starannie posadzkę, wybielono sufit, pomalowano boazerię tak, aby imitowała słoje i sęki dębowe. Marmurowy kominek zajął miejsce dawnego. Kanonik miał na tyle gustu, aby wyszukać stare, rzeźbione orzechowe fotele. Wreszcie długi hebanowy stół i dwa meble Boulle'a⁴ dały tej izbie fizjonomię pełną charakteru. W ciągu dwóch lat hojność pobożnych osób oraz legaty penitentek, mimo że skromne, wypełniły książkami puste zrazu półki biblioteczne. Wreszcie wuj księdza Chapeloud, były oratorianin, zapisał mu swoją kolekcję *in folio* Ojców Kościoła i wiele innych dzieł, cennych dla duchownego. Birotteau, coraz bardziej zdumiony przeobrażeniami tej gołej niegdyś izby, doszedł stopniowo do mimowolnej pożądlivosti. Zapragnął posiadać ten gabinet, tak zestrojony z powagą stanu duchownego. Namiętność ta rosła z dnia na dzień. Pracując całe dni w tym ustroniu wikariusz mógł ocenić ciszę i spokój mieszkania, które zrazu zachwyciło go swoim wygodnym rozkładem. W ciągu następnych lat Chapeloud uczynił ze swej celi modlitewnię, którą jego nabożne przyjaciółki skwapliwie upiększały. Jeszcze później dama jakaś ofiarowała kanonikowi haftowany fotel, który sama długi czas robiła pod okiem tego sympatycznego człowieka, nie domyślającego się jego przeznaczenia. Wówczas z sypialnią stało się to, co z gabinetem: olśniła wikarego. Wreszcie na trzy lata przed śmiercią ksiądz Chapeloud dopełnił upiększeń w swoim mieszkaniu strojąc salon. Meble, mimo iż po prostu obite czerwonym welwetem, oczarowały księdza Birotteau. Od dnia, w którym ujrzał firanki w czerwone pasy, mahoniowe meble, dywan i cały ten obszerny, nowo pomalowany pokój, mieszkanie księdza Chapeloud stało się dlań przedmiotem tajemnej monomanii. Mieszkać tam, położyć się w łóżku o sutych jedwabnych firankach, gdzie sypiał kanonik, mieć koło siebie wszystkie te wygody – to był dla księdza Birotteau szczyt szczęścia: nie widział nic ponad to. Wszystkie pragnienia i ambicje lęgające się w sercu ludzi skupiły się u księdza Birotteau w tajemnym i głębokim uczuciu, z jakim pragnął mieszkania podobnego do gniazdka księdza Chapeloud. Ilekroć przyjaciel zachorował, Birotteau przybiegał wiedziony niewątpliwie szczerym przywiązaniem; ale kiedy się dowiadywał o jego niemocy lub kiedy mu dostrzymywał towarzystwa, rodziło się mimo woli w jego duszy tysiąc myśli, któ-

³ Czarna Banda – tak nazywano po rewolucji 1789 r. spółki spekulantów, którzy kupowali zabytkowe budynki na handel lub rozbiórkę.

⁴ André – Charles Boulle albo Boule (1642 – 1732) – wybitny stolarz – artysta, pierwszy stosował zdobienie mebli inkrustacją z brązu, masy perłowej i szylkretu.

rym najprostszym wyrazem było zawsze: „Gdyby Chapeloud umarł, może odziedziczyłbym jego mieszkanie”.

Że jednak Birotteau miał zacne serce, ciasny umysł i ograniczoną inteligencję, nie przychodziło mu na myśl uczynić cośkolwiek w tym celu, aby mu przyjaciel zapisał bibliotekę i meble.

Ksiądz Chapeloud, miły i pobłażliwy egoista odgadł namiętność przyjaciela, co nie było trudne, i przebaczył mu ją, co może się wydać mniej łatwe u księdza. Ale też wikary, którego przyjaźń była wciąż niezmienna, przechadzał się co dzień z przyjacielem w jednej i tej samej alei, nie mając doń ani przez chwilę żalu o czas, który od dwudziestu lat poświęcał na tę przechadzkę. Birotteau, który uważał swoje mimowolne pragnienie za grzech, byłby zdolny za pokutę do najgłębszych poświęceń. Kanonik spłacił dług wobec tak naiwnie szczerego braterstwa, mówiąc na kilka dni przed śmiercią do wikarego, który mu czytał „Quotidienne”⁵:

– Tym razem dostaniesz mieszkanie. Czuję, że już koniec ze mną.

W istocie ksiądz Chapeloud zapisał księdzu Birotteau bibliotekę i meble. Posiadanie tych rzeczy tak żywo upragnionych oraz nadzieja zostania pensjonarzem panny Gamard złagodziły boleść, jaką zadała księdzu Birotteau strata przyjaciela: nie byłby go może wskrzesił, ale płakał po nim. Przez kilka dni był jak Gargantua, gdy mu żona umarła dając życie Pantagruelowi: nie wiedział, czy ma się cieszyć z narodzin syna, czy też martwić się, że pochował pocziwą Badebek; wciąż mylił się ciesząc się ze śmierci żony, a oplakując urodzenie Pantagruela. Birotteau spędził pierwsze dni żałoby na sprawdzaniu tomów

s w o j e j biblioteki, na posługiwaniu się s w o i m i meblami, na oglądaniu ich; przy czym tonem, którego na nieszczęście nikt nie mógł utrwalić, mówił: „Biedny Chapeloud!” Radość jego i ból tak go pochłoneły, że nie czuł żadnej przykrości widząc, że kto inny otrzymał kanonię, której sukcesji nieboszczyk Chapeloud spodziewał się dla przyjaciela. Panna Gamard z przyjemnością wzięła wikariusza na pensję; jakoż odtąd dostąpił wszystkich materialnych szczęśliwości życia, które mu wychwalał zmarły. Nieobliczalne korzyści! Wedle tego, co mówił nieboszczyk Chapeloud, żaden z księży mieszkających w Tours, nie wyjmując arcybiskupa, nie był z pewnością przedmiotem równie delikatnych, równie drobiazgowych starań jak te, którymi panna Gamard otaczała swoich dwóch pensjonarzy.

Pierwsze słowa kanonika, kiedy się spotkał z przyjacielem na przechadźce, tyczyły prawie zawsze smacznego obiadku, który właśnie spożył. Rzadko się zdarzało, aby w ciągu siedmiu spacerów w tygodniu nie powiedział przynajmniej czternaście razy:

– Ta zacna panienska ma wyraźne powołanie do służby duchownej.

– Pomyśl – mówił kanonik Chapeloud do księdza Birotteau – przez dwanaście lat z rzędu bielizna, alby, komże, rabaty, nigdy nie brakowało. Zawsze znajdują każda rzecz na miejscu, w dostatecznej ilości, pachnącą irysem. Meble czyszczone i wytarte tak, że od dawna nie wiem po prostu, co to kurz. Czy widziałeś kiedy u mnie bodaj źdźbło kurzu? Nigdy! Drzewo na opał piękne, suche, każda rzecz wyborowa; zdawałoby się, że panna Gamard przebywa ustawicznie w moim pokoju. Nie przypominam sobie, abym w ciągu dziesięciu lat zadzwonił dwa razy, by prosić o cokolwiek. To się nazywa żyć! Nie

⁵ „Quotidienne” (Gazeta Codzienna) – dziennik rojalistyczny, założony w 1792 r.

musieć niczego szukać, nawet pantofli! Mieć zawsze dobry ogień , dobry stół! Na przykład mieszek mój mnie niecierpliwiał, źle ciągnął. Nie poskarżyłem się ani dwóch razy : już na drugi dzień panna Gamard dała mi bardzo ładny mieszek i te szczypczyki, którymi, jak widziałeś, grzebię sobie w ogniu.

Birotteau za całą odpowiedź szepnął tylko:

– Pachnące irysem!

To „pachnące irysem” wruszało go zawsze. słowa kanonika odślaniały szczęście fantastyczne dla biednego wikarego, który miał wieczny kłopot ze swymi albami, ile że nie miał zmysłu porządku i dość często zapominał zadysponować obiad. Toteż, czy to obchodził kościół z kwestą, czy odprawiał mszę, ilekroć spostrzegł pannę Gamard, zawsze obejmował ją słodkim i życzliwym spojrzeniem, jakie święta Teresa mogła ślać w niebo.

Szczęście, którego pragnie każde stworzenie i o którym tak często marzył Wikary, ziściło się. ale ponieważ trudno jest komukolwiek, nawet księdzu, żyć bez jakiejś pasji, od pół roku ksiądz Birotteau zastąpił swoje dwie zaspo-kojone namiętności rządzą pelerynki. Tytuł kanonika stał się dlań tym, czym godność para dla ministra – plebejusza. Toteż możliwości tej nominacji, nadzieje, jakie mu dano u pani de Listomère, tak mocno zawróciły mu w głowie, iż wróciwszy do domu przypomniał sobie, że zostawił parasol. Gdyby nie deszcz, który lał jak z cebra, może nie byłby sobie w ogóle o tym przypomniał, tak bardzo był pochłonięty myślami. Z rozkoszą przetrawiał wszystko, co mu powiedziały w sprawie jego promocji osoby bywające u pani de Listomère, starszej damy, u której co środę spędzał wieczór. Wikary zadzwonił żywo, jak gdyby chcąc tym powiedzieć służącej, aby mu nie kazała czekać. Następnie przytulił się do bramy, aby jak najmniej zmoknąć; ale woda spływając z dachu padała mu właśnie na końce trzewików, a wiatr kierował nań raz po raz strugi deszczu, dość podobne do tuszu. Odczekawszy czas potrzebny, aby służąca mogła wyjść z kuchni i pociągnąć za sznurek, którym otwierało się bramę, wikary zadzwonił ponownie, i to tak, aby uczynić wymowny hałas.

– Nie mogły przecież wyjść – powiedział sobie nie słysząc żadnego odgłosu.

I zaczął dzwonić po raz trzeci, a dzwonek powtórzony donośnie przez wszystkie echa katedry rozległ się tak cierpko, że niepodobna była się nie obudzić. Toteż w dobrą chwilę potem usłyszał nie bez pewnej przyjemności zaprawnej irytacją, saboty służącej łomocące po bruku podwórza. Mimo to udręki jego nie skończyły się tak prędko, jak ksiądz się spodziewał. Zamiast pociągnąć za sznurek, Marianna musiała otworzyć drzwi wielkim kluczem oraz odsunąć rygle.

– Jakże ty możesz dać mi trzy razy dzwonić na taki czas? – rzekł do Marianny.

– Przecie ksiądz widzi, że brama była zamknięta. Wszyscy od dawna śpią, były już trzy kwadranse na dziesiątą. Nasza pani myślała pewnie, że ksiądz jest w domu.

– Ale tyś przecież widziała, jakem wychodził! Zresztą pani wie dobrze, że bywam u pani de Listomère co środę.

– Cóż powiem, proszę księdza? Zrobiłam, jak pani kazała – odparła Marianna zamykając bramę.

Słowa te zadały księdzu Birotteau cios tym dotkliwszy przez kontrast z doskonałym szczęście, w jakim właśnie tonał w marzeniu. Zamilkł i udał się za

Marianną do kuchni, aby wziąć świecę, w przekonaniu, że ją tam zostawił. Ale zamiast wejść do kuchni, Marianna zaprowadziła księdza na górę, gdzie ujrzał w przedpokoju swój lichtarz na stole. Niemy ze zdumienia, wszedł szybko do pokoju, zobaczył, że nie ma ognia w kominku, i przywołał Mariannę, która jeszcze nie zdążyła odejść.

– Nie zapaliłaś ognia? – rzekł.

– Przepraszam księdza – odparła. – Musiał zagasnąć.

Birotteau spojrział na nowo na kominek i przekonał się, że był nietknięty od rana.

– Muszę osuszyć nogi – odparł – rozpal ogień.

Marianna usłuchała z pośpiechem osoby, której się widocznie chce spać. Szukając sam swoich pantofli i nie znajdując ich, jak bywało zwykle, na dywaniku, ksiądz przyglądał się Mariannie i uczynił parę spostrzeżeń świadczących, że ona nie wstała prosto z łóżka, jak twierdziła. Uprzytomnił sobie wówczas, że od dwóch tygodni pozbawiono go wszelkich owych drobnych wygód, które przez półtora roku uczyniły mu życie tak słodkim. Otóż ponieważ ciasne umysły skłonne są z natury do roztrząsania drobiazgów, ksiądz pograżył się z miejsca w głębokich dumaniach nad tymi czterema wypadkami, które, niedostrzegalne dla kogo innego, dla niego stanowiły cztery katastrofy. Była to najoczywistsza ruina jego szczęścia: to zapomnienie pantofli, to kłamstwo Marianny o ogniu na kominku, to niesłychane przeniesienie lichtarza do przedpokoju i wreszcie ta przymusowa kwarantanna w deszcz pod bramą.

Kiedy ogień błysnął, kiedy zapalono lampkę nocną i kiedy Marianna opuściła pokój nie spytawszy jak niegdyś: „Czy księdzu jeszcze czego nie trzeba?”, Birotteau zanurzył się łagodnie w pięknej i obszernej berzerce zmarłego przyjaciela; ale ruch, jakim się w nią osunął, miał coś smutnego. Oblegało nieboraka przecucie jakiegoś straszliwego nieszczęścia. Oczy jego wędrowały kolejno po pięknej szafie, komodzie, krzesłach, firankach, dywanach, po obszernym łóżku, kropielnicy, krucyfiksie, *Madonnie* Valentyna, *Christusie* Lebruna⁶, słowem, po wszystkich przedmiotach; a na jego twarzy odbił się ból najtkliwszego pożegnania, jakim kiedy kochanek darzył pierwszą kochankę lub starzec swoje ostatnie zasadzone drzewa. Wikary poznał w tej chwili, nieco późno co prawda, oznaki cichego prześladowania, jakie cierpiał od trzech miesięcy ze strony panny Gamard. Człowiek inteligentny byłby z pewnością odgadł jej niechęć o wiele wcześniej. Alboż wszystkie stare panny nie mają specjalnego talentu akcentowania czynków i słów, jakie podsuwa nienawiść? Drapią jak koty. Przy tym nie tylko ranią, ale doznają rozkoszy w tym, aby ranić i aby pokazać ofierze, że ją zraniły. Tam, gdzie człowiek obyty w świecie nie dałby się drasnąć dwa razy, pocziwemu Birotteau trzeba było kilku uderzeń łapą w twarz, nim uwierzył w złą intencję.

Natychmiast z ową drobiazgową bystrością, jakiej nabywają księża przywykli zgłębiać sumienia i roztrząsać błahostki przy konfesjonale, ksiądz Birotteau zaczął budować – jak gdyby chodziło o kontrowersję religijną – następujący pewnik:

⁶ Valentin de Boulogne, zwany Valentin (1591 – 1634) – francuski malarz religijny; Charles Lebrun albo Le Brun (1619 – 1690) – wybitny malarz francuski, malował wiele obrazów na zamówienie Ludwika XIV.

„Przypuściwszy, że panna Gamard zapomniała o wieczorze u pani de Listomère, że Marianna zapomniała rozpałcić ogień, że myślały, iż wróciłem; zważywszy, że zniosłem dziś rano – i to osobiście! – m ó j l i c h t a r z !!!, niepodobieństwem jest, aby panna Gamard widząc go u siebie w sali mogła sądzić, że ja jestem w domu. Ergo, panna Gamard chciała mnie wytrzymać pod bramą w deszcz; każąc zaś odnieść lichtarz na górę miała zamiar okazać mi...” – Co? – rzekł głośno, przejęty grozą wypadków, wstając, aby zdjąć mokrą odzież, wziąć szlafrok i fular na głowę.

Następnie przeszedł od łóżka do kominka gestykulując i rzucając na rozmaite tony następujące zdania, każde przechodzące w dyszkant, jakby dla zamarkowania wykrzykników:

– Cóż ja jej u diaska, zrobiłem? Czego ona chce ode mnie? Marianna nie mogła zapomnieć o ogniu! To ona jej powiedziała, aby nie palić! Trzeba by być dzieckiem, aby nie spostrzec z tonu i zachowania, że ona ma coś do mnie, że miałem nieszczęście jej się narazić. Nigdy księdzu Chapeloud nie zdarzyło się coś podobnego! Niepodobna mi będzie żyć z takim dokuczaniem... W moim wieku!...

Ksiądz położył się w nadziei wyświecenia nazajutrz przyczyn nienawiści niweczającej na zawsze owo szczęście, którym cieszył się od dwóch lat wyteskniwszy się za nim tak długo. Niestety! tajemne pobudki panny Gamard miały dlań zostać na wieki nie znane nie dlatego, aby je trudno było odgadnąć, ale dlatego, że nieborakowi brak było owej szczerości, z jaką ludzie wyżsi i hultaje umieją wejrzeć w siebie i osądzić się. Jedynie genialny człowiek lub filut umie sobie powiedzieć: „Zbłądziłem”. Interes i talent to jedyni sumienni i bystrzy doradcy. Otóż ksiądz Birotteau, którego poczciwość graniczyła z głupotą, którego wykształcenie było jakby inkrustacją wtłoczoną wysiłkiem pracy, nie miał najmniejszego pojęcia o świecie i o życiu. Żył między mszą a konfesjonalem, wielce zajęty rozstrzyganiem najlżejszych skrupułów sumienia jako spowiednik miejscowych pensjonatów oraz kilku zacnych dusz, które umiały go cenić. Było to wielkie dziecko, któremu mechanizm społeczny był prawie obcy. Jedynie egoizm wrodzony wszystkim ludzkim istotom, wzmocniony swoistym egoizmem księżym oraz ciasnym egoizmem prowincji, rozwinął się w nim nieznacznie i mimo jego wiedzy. Gdyby ktoś zadał sobie ten trud, aby zgłębić duszę wikarego i wykazać mu, że w nieskończenie drobnych szczegółach jego egzystencji oraz drobnych obowiązkach jego prywatnego życia brak mu zasadniczo owego poświęcenia, które głosił, byłby się sam ukarał, umartwiłby się z dobrą wiarą. Ale ci, których zadraśniemy nawet bezwiednie, nie troszczą się o naszą nieświadomość, chcą i umieją się zemścić. Zatem Birotteau, mimo iż mały człeczyna, miał paść ofiarą owej wielkiej Sprawiedliwości, która nieodmiennie każe światu spełniać swoje wyroki, zwane przez wielu dudków „nieszczęściami życia”.

Między nieboszczykiem kanonikiem Chapeloud a jego wikariuszem była ta różnica, że jeden był egoista zręczny i sprytny, a drugi egoista szczerzy i naiwny. Kiedy ksiądz Chapeloud osiadł u panny Gamard, umiał doskonale ocenić charakter swojej gospodyni. Konfesjonał zdradził mu, ile goryczy wytwarza w sercu starej panny nieszczęście stawiające ją poza obrębem społeczeństwa; wytyczył tedy rozważnie plan postępowania. Gospodyni, licząca dopiero trzydzieści osiem lat, zachowała jeszcze pewne pretensje, które u takich szarych osób zmieniają się później w wysokie mniemanie o sobie. Kano-

nik zrozumiał, że aby dobrze żyć z panną Gamard, musi mieć zawsze dla niej jednaką uprzejmość i jednakie względy, musi być bardziej nieomylny niż sam papież. Aby to osiągnąć, ograniczył się w stosunkach z nią jedynie do tego, co nakazuje prosta uprzejmość oraz zażyłość wytwarzająca się między osobami mieszkającymi pod jednym dachem. I tak, mimo że ksiądz Troubert i on jadali regularnie trzy razy dziennie, wymówił się od wspólnego śniadania, przyuczając pannę Gamard, aby mu posłała do łóżka kawę ze śmietanką. Następnie oszczędził sobie nudów odsiadania kolacji wychodząc na herbatę do znajomych domów. W ten sposób rzadko widywał swoją gospodynię poza obiadem, ale na obiad przychodził zawsze trochę wcześniej. W czasie tej niby – wizyty zawsze, przez dwanaście lat, które spędził pod jej dachem, zadawał jej te same pytania, otrzymując te same odpowiedzi. Zainteresowanie tym, czy dobrze spała, śniadanie, drobne sprawy domowe, jej wygląd, zdrowie, pogoda, czas trwania nabożeństw, epizody w czasie mszy, wreszcie zdrowie tego lub owego księdza – oto były tematy tej codziennej rozmowy. Przy obiedzie operował zawsze metodą delikatnego pochlebstwa, raz po raz przechodząc od zalet ryby, do delikatności zasmażki lub przymiotów panny Gamard i jej zalet jako gospodyni. Umiał zręcznie głaskać próżnostki starej panny chwalać jej konfitury, korniszony, konserwy, pasztety i inne gastronomiczne wymysły. Nigdy wreszcie sprytny kanonik nie opuścił złotego saloniczku nie powiedziawszy jej wprzód, że nigdzie, w całym Tours, nie pija się równie dobrej kawy.

Dzięki temu doskonałemu zrozumieniu charakteru panny Gamard oraz dzięki tej sztuce życia, uprawianej przez kanonika w ciągu dwunastu lat, nigdy nie przyszło między nimi do najmniejszego nieporozumienia. Ksiądz Chapeloud od razu poznał wszystkie kanty, szorstkości, zadziory starej panny i uregulował nieuniknione punkty styczności w ten sposób, aby uzyskać od niej wszystko, co było potrzebne do szczęścia. Toteż panna Gamard mówiła, że ksiądz Chapeloud jest to człowiek bardzo miły, łatwy w pożyciu i nader dowcipny. Co się tyczy księdza Troubert, dewotka nie mówiła o nim bezwarunkowo nic. Zupełnie wszedłszy w krąg jej życia jak satelita w sferę swej planety, Troubert był dla niej czymś pośrednim między człowiekiem a psem; mieścił się w jej sercu tuż przed miejscem przeznaczonym dla przyjaciół oraz dla wielkiego, dychawicznego mopsa, którego kochała tkliwie. Władza nad nim całkowicie. Zespolenie ich interesów posunęło się tak daleko, iż wiele osób żyjących blisko z panną Gamard mniemało, że ją przywiązuje do siebie bezgraniczną cierpliwością i powoduje nią skuteczniej, udając, że sam jej słucha, i nie zdradzając najmniejszej chęci władzy.

Kiedy ksiądz Chapeloud zmarł, stara panna, która chciała mieć spokojnego pensjonariusza, pomyślała z natury rzeczy o wikarym. Nim jeszcze otwarto testament kanonika, już panna Gamard zamyśliła oddać mieszkanie zmarłego swemu poczciwemu księdzu Troubert, uważając, że mu jest niedobrze na parterze. Ale kiedy ksiądz Birotteau przyszedł spisywać ze starą panną warunki, ujrzała, że tak jest rozkochany w tym mieszkaniu, którego pożądał tak długo, dziś dopiero mogąc zdradzić siłę swoich pragnień, iż nie śmiała mu wspomnieć o zamianie. Przyjaźń poświęciła względem interesu. Aby pocieszyć ukochanego kanonika, dała w jego mieszkaniu posadzkę zamiast podłogi i przebudowała kominek, który dymił.

Ksiądz Birotteau odwiedzał przez dwanaście lat przyjaciela swego, księdza Chapeloud, przy czym nigdy nie przyszło mu na myśl dochodzić, skąd pochodzi jego niezmierna oględność w stosunkach z panną Gamard. Kiedy się sprowadził do tej świątobliwej panienci, znajdował się w sytuacji kochanka, który doczekał się uwieńczenia swych pragnień. Gdyby nawet z natury nie był ślepy, oczy jego zanadto były olśnione szczęściem, aby mógł przejrzeć pannę Gamard i zastanowić się nad sposobem unormowania codziennych stosunków. Panna Gamard widziana z daleka przez pryzmat doczesnych szczęśliwości, jakie wikary marzył w jej domu, zdawała mu się istotą doskonałą, wzorową chrześcijanką, osobą pełną miłości bliźniego, niewiastą ewangeliczną, panną mądrą, strojną w owe ciche i skromne cnoty, nasycające życie niebiańskim zapachem. Toteż z całym zachwytem człowieka, który dochodzi do dawno upragnionego celu, z naiwnością dziecka oraz nieopatrznością starca nie znającego świata wszedł w życie panny Gamard, jak mucha łapie się w sieć pająka. I tak pierwszego dnia, kiedy miał jeść i spać w jej domu, został w salonie wiedziony pragnieniem bliższego poznania, a również owym dziwnym zakłopotaniem, które tak często paraliżuje ludzi nieśmiałych: wydaje się im, że będą niegrzeczni, jeżeli przerwą rozmowę, aby się pożegnać. Został tedy na cały wieczór. Druga stara panna, przyjaciółka księdza Birotteau, panna Salomon de Villenoix, przyszła tego wieczora. Uszczęśliwiona panna Gamard złożyła partyjkę bostona. Kładąc się spać wikary pomyślał, że spędził bardzo miły wieczór. Znając jeszcze bardzo niewiele panny Gamard i księdza Troubert, widział jedynie powierzchownie ich charakterów. Mało kto odsłania od razu swoje wady. Na ogół każdy stara się przybrać powabną maskę. Ksiądz Birotteau powziął tedy uroczy projekt poświęcenia swoich wieczorów pannie Gamard, zamiast je spędzać w mieście.

Osoba ta hodowała od kilku lat pragnienie, które potęgowało się w niej z każdym dniem. Pragnienie owo z rzędu tych, które hodują starcy, a nawet ładne kobiety, stało się u niej namiętnością podobną namiętności księdza Birotteau do mieszkania swego przyjaciela. Tkwiło ono w sercu starej panny korzeniami pychy i egoizmu, zazdrości i próżności, jakie istnieją u ludzi światowych. Wieczna historia: wystarczy rozszerzyć nieco ciasny krąg, w którym poruszają się te osoby, aby otrzymać wzór wypadków zachodzących w najwyższych sferach towarzyskich.

Panna Gamard spędzała wieczory kolejno w sześciu czy ośmiu rozmaitych domach. Czy dolegało jej, że musi szukać ludzi, i czuła się w prawie – w swoim wieku – żądać od nich wzajemności, czy raniło jej miłość własną, że nie ma własnego towarzystwa, czy wreszcie próżność jej żądała pochlebstw i względów, jakimi cieszyły się jej przyjaciółki, dość, że całą jej ambicją było uczynić swój salon punktem zbornym, do którego co wieczór pewna ilość osób dążyłaby z p r z y j e m n o ś c i ą. Kiedy Birotteau i jego przyjaciółka, panna Salomon, spędzili u niej kilka wieczorów w towarzystwie wiernego i cierpliwego księdza Troubert, pewnego wieczora, wychodząc od Św. Gracjana, panna Gamard oznajmiła przyjaciółkom, których dotąd czuła się jakby niewolnica, że osoby pragnące ją widzieć mogą ją odwiedzać raz na tydzień u niej w domu, gdzie zbiera się grono przyjaciół dość liczne, aby złożyć partyjkę bostona. Nie godzi się jej (mówiła) zostawiać samego księdza Birotteau, swego nowego pensjonarza; panna Salomon nie opuściła jeszcze ani jednego dnia; ma obowiązki wobec swych przyjaciół... i to, i owo... itd. Słowa te były

tym pokorniej dumne i tym obficiejszą słodkawe, iż panna Salomon de Villenoix należała do najarystokratyczniejszego towarzystwa w Tours. Mimo iż panna Salomon przychodziła jedynie przez przyjaźń dla wikarego, panna Gamard pyszniła się, że ją ma w swoim salonie, i czuła się dzięki księdzu Birotteau bliska ziszczenia wielkiego planu: stworzyć kółko równie liczne, równie miłe jak salony pani de Listomère, pani Merlin de la Blotière i innych dewotek podejmujących nabożne towarzystwo w Tours! Ale niestety, ksiądz Birotteau unicestwił zamiary panny Gamard. Otóż jeżeli wszyscy ci, którzy osiągnęli w życiu od dawna upragnione szczęście, zrozumieli radość, jaką mógł czuć wikary kładąc się w łóżku księdza Chapeloud, powinni również wytworzyć sobie lekkie pojęcie o zgryzocie, jaką sprawiło pannie Gamard zwałenie jej ulubionego planu. Ścierpiawszy przez pół roku dość powolnie swoje szczęście, Birotteau pierzchnął z jej domu, uprowadzając pannę Salomon. Mimo niesłychanych wysiłków ambitna panna Gamard zebrała ledwie jakieś pięć czy sześć osób, uczęszczających dość nieregularnie, trzeba zaś było co najmniej czworo wiernych, aby podtrzymać bostona. Musiała tedy uderzyć w skrucę i wrócić do dawnych przyjaciółek, stare panny bowiem czują się zbyt lichy we własnym towarzystwie, aby się mogły obejść bez wątpliwych przyjemności świata.

Przyczynę tej dezercji łatwo odgadnąć. Mimo iż wikary był z rzędu tych, do których ma kiedyś należeć raj na mocy wyroku: „Błogosławieni ubodzy duchem” – nie mógł, jak wielu ludzi głupich, znosić nudy, o jaką go przyprawiali inni głupcy. Ludzie nieinteligentni podobni są do chwastów, które lubują sobie w dobrej glebie; ponieważ sami się nudzą, tym bardziej potrzebują, aby ich bawiono. Wcielenie nudy, której są pastwą, połączone z ustawiczną potrzebą ucieczki od samych siebie wytwarza tę namiętność ruchu, tę ciągłą potrzebę bycia tam, gdzie ich nie ma. To ich cecha, podobnie jak cecha istot pozbawionych czucia oraz tych, którzy chybią w życiu swego losu lub cierpią z własnej winy. Nie zgłębiając zbyt pusty i nicości panny Gamard, ani też nie tłumacząc sobie ciasnoty jej myśli, biedny ksiądz Birotteau spostrzegł (nieco później na swoje nieszczęście), wady, jakie dzieliła z wszystkimi starymi pannami oraz te, które posiadała osobiście. Zło oglądane w drugich odcina się tak wyraźnie od dobrego, iż uderza nas prawie zawsze w oczy, zanim nas jeszcze zrani. Ten objaw mógłby usprawiedliwić skłonność, która nas mniej lub więcej popycha do obmowy. Tak naturalną rzeczą jest drwić sobie z ułomności drugich, iż powinniśmy wybaczyć uszczypliwe plotki, usprawiedliwione naszymi śmiesznościami, i dziwić się jedynie potwarzy. Ale oczy poczciwego wikarego nigdy nie osiągnęły tego punktu optycznego, który pozwala światowcom dojrzeć rychło kolców sąsiada i uniknąć ich; na to, aby poznał wady swej gospodyni, musiał uczuć przestrożę, jakiej natura udziela wszystkim stworzeniom: ból! Stare panny, nie nagiawszy swego charakteru i życia do cudzego życia i charakteru, jak tego wymaga dola kobiety, mają przeważnie tę manię, aby wszystko naginać do siebie. U panny Gamard skłonność ta wyrodziła się w despotyzm; ale ten despotyzm umiał się wyrazić tylko w drobiazgach. Tak więc wśród tysiąca przykładów, koszyczek z fiszkami i sztonami, postawiony na stoliku do kart dla księdza Birotteau, powinien być zostać tam, gdzie był; i ksiądz drażnił ją wielce, przesuwając ten koszyczek, co zdarzało się prawie co wieczór. Skąd pochodziła owa drażliwość tak niemądrze czepiająca się błahostek; i jaki był jej cel? Nikt by tego nie

umiał powiedzieć, panna Gamard sama nie wiedziała. Mimo iż z natury potulny jak owca, nowy pensjonarz – jak i owce zresztą – nie lubił zbyt często czuć laski pastuszej, zwłaszcza opatrzonej kolcem. Nie tłumacząc sobie bezgranicznej cierpliwości księdza Troubert, Birotteau zrezygnował ze szczęścia, które panna Gamard chciała mu przyrzadzić na swój sposób, sądziła bowiem, że ze szczęściem jest tak jak z konfiturami. Ale nieborak wskutek naiwności swego charakteru wziął się do rzeczy dość niezręcznie; rozstanie nie obeszło się tedy bez kwasów i szpileczek, na które ksiądz Birotteau silił się okazać obojętny.

Z końcem pierwszego roku przeżytego pod dachem panny Gamard wikariusz wrócił do dawnych obyczajów spędzając dwa wieczory w tygodniu u pani de Listomère, trzy u panny Salomon, a dwa pozostałe u panny Merlin de la Blottiere. Osoby te należały do miejscowej arystokracji, do której panna Gamard nie miała wstępu. Toteż gospodyni dotkliwie odczuła ucieczkę księdza Birotteau, która dała jej poznać jej własną nicość: wszelki wybór mieści w sobie wzgardę porzuconego przedmiotu.

– Ksiądz Birotteau nie czuł się dobrze w naszym towarzystwie – powiadał ksiądz Troubert przyjaciółom panny Gamard, kiedy musiała poniechać swoich wieczorów. – To inteligencja, smakosz! Jemu trzeba wielkiego świata, zbytku, dowcipnej rozmowy, ploteczek...

Słowa te pobudzały zawsze pannę Gamard do wysławiania swego charakteru kosztem księdza Birotteau.

– Nie taka znów inteligencja – mówiła. – Gdyby nie ksiądz Chapeloud, nigdy by się nie wsrubował do pani de Listomère. Och! wiele straciłam tracąc księdza Chapeloud. Cóż za miły człowiek, jaki łatwy! Dość powiedzieć, że w ciągu dwunastu lat nie miałam z nim najmniejszego zajścia ani najmniejszej przykrości.

Panna Gamard przedstawiła księdza Birotteau w świetle tak ujemnym, że w tym mieszczańskim światku, tajemnie zawistnym o arystokrację, zyskał opinię człowieka bardzo przykrego i nieznośnego w pożyciu. Następnie stara panna miała kilka tygodni tę przyjemność, iż słuchała ubolewań przyjaciółek, które nie myśląc ani słowa z tego, co mówiły, powtarzały bez ustanku: „Jak to, pani, taka zgodna i dobra, pani ściągnęła na siebie niechęć...?” Albo: „Niech się pani pocieszy, droga pani Gamard, zbyt dobrze panią znają, aby...” etc.

Ale wszyscy w duchu błogosławili wikariusza, uszczęśliwieni, że ominął ich wieczór w Klasztorze, miejscu najbardziej odludnym, posępnym i oddalonym od centrum w całym Tours.

Między osobami wciąż stykającymi się z sobą nienawiść i miłość wciąż wzrastają; znajdujemy co chwila nowe przyczyny, aby bardziej kochać lub nienawidzić. Toteż ksiądz Birotteau stał się dla panny Gamard nie do zniesienia. W półtora roku od swego wprowadzenia się, w chwili gdy pocziwiec widział błogi spokój w milczeniu nienawiści i rad był, że tak dobrze ułożył swoje stosunki ze starą panną, w istocie stał się dla niej celem tajemnej nagonki i chłodno obmyślanej zemsty. Dopiero te cztery fundamentalne okoliczności: zamknięte drzwi, zapomniane pantofle, brak ognia, lichtarz przeniesiony do jego pokoju, zdołały mu odsłonić ową straszliwą nienawiść, której ostatnie ciosy miały nań spaść aż w chwili, gdy będą nie do naprawienia.

Usypiając tedy zacny wikariusz łamał sobie daremnie biedną głowinę, aby sobie wytłumaczyć to szczególnie niegrzeczne postępowanie panny Gamard. Ponieważ swego czasu postąpił bardzo logicznie trzymając się naturalnych praw swego egoizmu, trudno mu było zrozumieć, w czym zawinił wobec gospodyni. O ile wielkie rzeczy łatwo jest pojąć i wyrazić, małości życia wymagają wielu szczegółów. Wypadki stanowiące niejako prolog tego mieszczańskiego dramatu, w którym wszakże namiętności są równie gwałtowne, co gdyby płynęły z wielkich przyczyn, wymagały tego długiego wstępu i trudno byłoby wiernemu historykowi ograniczyć się.

Nazajutrz rano po przebudzeniu Birotteau tak usilnie myślał o swojej kanonii, że nie pamiętał już czterech ostatnich okoliczności, w których w wilię ujrzał złowrogą wróżbę przyszłych nieszczęść. Wikariusz nie był człowiekiem, który by wstał z łóżka bez ognia, zadzwonił tedy na Mariannę; po czym, wedle zwyczaju, utonął w sennych rojeniach. Zwykle służąca rozpalając ogień wyrwała go łagodnie z tego półsnu szmerem swoich pytań i swego krzątania. Ksiądz lubił ten rodzaj muzyki. Upłynęło pół godziny, a Marianna się nie zjawiała. Wikariusz (na wpół już kanonik) miał zadzwonić na nowo, ale puścił taśmę słysząc na schodach męskie kroki. Był to ksiądz Troubert, który, zapukawszy dyskretnie, wszedł na zaproszenie gospodarza. Wizyta ta, którą dwaj księża wymieniali dość regularnie raz na miesiąc, nie zaskoczyła wikariusza. Najpierw kanonik zdziwił się, że Marianna jeszcze nie roznieciła ognia u kolegi. Otworzył okno, ostro krzyknął na Mariannę wzywając ją do księdza Birotteau, po czym zwracając się doń rzekł:

– Gdyby panna Gamard dowiedziała się, że ksiądz nie ma ognia, połajęła by Mariannę.

To rzekłszy zagadnął księdza o zdrowie i spytał łagodnie, czy ma jakieś nowiny o swojej nominacji. Wikariusz opowiedział mu o swych zabiegach i wymienił naiwnie osoby, na które stara się wpłynąć pani de Listomère. Nie wiedział, iż Troubert nigdy nie przebaczył owej pani tego, że nie mógł się dostać do jej domu, on, ksiądz Troubert, dwa razy już omal nie mianowany generalnym wikariuszem diecezji!

Niepodobna znaleźć dwóch twarzy, które by przedstawiały więcej sprzeczności niż fizjonomie tych dwóch księży. Troubert, wysoki i chudy, miał cerę śniadą i żółciową, gdy wikariusz był co się nazywa pulchny. Twarz księdza Birotteau, okrągła i rumiana, wyrażała bezmyślną dobroduszość, gdy twarz Trouberta, długa i poorana bruzdami, nabierała chwilami wyrazu pełnego ironii i wzgardy; trzeba było wszakże przyjrzeć mu się uważnie, aby odkryć te dwa uczucia. Zwykle kanonik zachowywał zupełny spokój, mając powieki wciąż prawie opuszczone na dwoje piwnych oczu, których spojrzenie stawało się, kiedy zechciał, jasne i przenikliwe. Rude włosy dopełniły tej posępnej fizjonomii, bez ustanku powleczonej mrokiem poważnych dumań. Wiele osób mniemało zrazu, że księdza Troubert pochłania jakaś wysoka i głęboka ambicja; ale ci, co go rzekomo znali lepiej, obalili w końcu to mniemanie przedstawiając go jako człowieka ogłupionego despotyzmem panny Gamard lub wyczerpanego nadmiernymi postami. Mówił rzadko i nie śmiał się nigdy. Kiedy mu się zdarzyło być mile wzruszonym, wymykał mu się słaby uśmiech, gubiący się w fałdach twarzy.

Birotteau był, przeciwnie, z gruntu szczery, wylany, lubiący smacznie zjeść; bawił się lada czym z naiwnością człowieka bez żółci i zdrady. Ksiądz

Troubert budził w pierwszej chwili mimowolną grozę, gdy wikariusz skłaniał tych, co go widzieli, do łagodnego uśmiechu. Kiedy przez arkady i nawy Św. Gracjana wysoki kanonik szedł uroczystym krokiem, z pochylonym czołem, z surowymi oczami – budził szacunek: jego przygarbiona postać harmonizowała z pożółkłymi sklepieniami katedry, fałdy jego sutanny miały coś monumentalnego, godnego rzeźbiarza. Natomiast poczciwy wikariusz kręcił się tam bez żadnej powagi, dreptał, deptał, tocząc się jak kulka.

Ci dwaj ludzie mieli wszakże jedno podobieństwo. Tak jak ambitne wejście Trouberta, każąc go się obawiać, skazało go może na nieznaczącą rolę zwykłego kanonika, tak samo charakter i postać księdza Birotteau skazywały go niejako na wieki w wikariat. Jednakże ksiądz Troubert doszedłszy pięćdziesięciu lat taktem swoim, pozorami zupełnego braku ambicji i na wskroś świętym życiem rozproszył całkowicie obawy, jakie jego domniemane zdolności oraz groźna fizjonomia obudziły w jego zwierzchnikach. Ponieważ zdrowie jego było od roku poważnie zachwiane, nominacja jego na generalnego wikariusza arcybiskupstwa zdawała się prawdopodobna. Nawet jego współzawodnicy życzyli mu tej nominacji, pragnąc lepiej przygotować własną przez tych niewiele dni, których użyczyłaby mu choroba, już chroniczna. Zupełnie przeciwnie, potrójny podbródek księdza Birotteau był dla konkurentów walczących z nim o miejsce kanonika znamieniem kwitnącego zdrowia, jego zaś podagra zdawała się, w myśl przysłowia, rękojmią długowieczności.

Ksiądz Chapeloud, człowiek nader roztropny, mile widziany dla swoich towarzyskich zalet przez arystokrację oraz przez miejscowych dygnitarzy, zawsze przeciwdziałał – tajemnie zresztą i bardzo sprytnie – wywyższeniu księdza Trouberta; bardzo zręcznie nawet zamknął mu przystęp do wszystkich znakomitszych salonów w Tours, mimo iż Troubert odnosił się doń z wielkim szacunkiem, okazując mu w każdej okazji wysoką cześć. Uniżoność ta nie mogła zmienić opinii zmarłego kanonika, który podczas ostatniej przechadzki powtarzał księdzu Birotteau:

– Strzeż się tego dryblasza Troubert! To Sykstus Piąty⁷ pomniejszony do rozmiarów konsystorza.

Takim był przyjaciel i towarzysz stołu panny Gamard, który nazajutrz po dniu, w którym stara panna wypowiedziała niejako wojnę biednemu Birotteau, przyszedł go odwiedzić z wylewami przyjaźni.

– Trzeba darować Mariannie – rzekł kanonik widząc wchodzącą służącą. – Zdaje się, że zaczęła od mojego mieszkania. U mnie jest bardzo wilgotno, kaszlałem dziś całą noc. Bardzo tu zdrowo ksiądz mieszka – rzekł wodząc okiem po ścianach.

– Och! mieszkam jak kanonik – rzekł Birotteau z uśmiechem.

– A ja jak wikariusz – rzekł pokorny ksiądz.

– Tak, ale niebawem będzie ksiądz mieszkał w konsystorzu – rzekł poczciwy Birotteau, który chciał, aby wszyscy byli szczęśliwi.

– Och! albo na cmentarzu. Ale niech się dzieje wola Boża!

I Troubert podniósł oczy do nieba z rezygnacją.

– Przyszedłem – dodał – poprosić księdza o pożyczanie mi wykazu beneficjów. Jeden ksiądz w całym Tours masz to dzieło.

⁷ Sykstus Piąty (1520–1590) – obrany papieżem w 1585 r., podobno udawał ciężko chorego, aby zdobyć głosy kardynałów, którzy liczyli, że nie zdoła mocno uchwycić władzy w swoje ręce.

– Proszę, niech ksiądz weźmie z biblioteki – odparł Birotteau, któremu ostatnie słowa Troubert uprzytomniły wszystkie rozkosze własnego życia.

Wysoki kanonik przeszedł do biblioteki i został tam przez czas, przez który wikariusz się ubierał. Niebawem rozległ się dzwon na śniadanie, podagryk zaś pomyślawszy, iż gdyby nie odwiedziły Trouberta, nie miałby ognia przy wstawaniu, powiedział sobie:

– Pocziwy człowiek!

Obaj księży zeszli razem, uzbrojeni każdy olbrzymim *in folio*, które złożyli na konsolce w jadalni.

– Cóż to takiego? – spytała cierpko panna Gamard, zwracając się do księdza Birotteau. – Mam nadzieję, że ksiądz mi nie będzie zagracał jadalni swymi szpargalami.

– To ja potrzebowałem tych książek – odparł Troubert – ksiądz wikariusz był tak uprzejmy, że mi ich pożyczył.

– Powinam się była domyślić – rzekła uśmiechając się wzgardliwie. – Ksiądz Birotteau nieczęsto zagląda do tych foliałów.

– Jak się pani miewa? – odparł pensjonarz pieszczonym głosem.

– Nieszczególnie – odparła sucho. – Ksiądz jest przyczyną, że mnie zbudzono z pierwszego snu i całą noc mi to zepsuło.

Panna Gamard dodała siadając:

– Mleko stygnie, moi dobrodzieje.

Zdumiony tym cierpkim przyjęciem gospodyni, wówczas gdy spodziewał się przeprosin, ale przerażony jak wszyscy ludzie nieśmiali widokami dyskusji, zwłaszcza gdy miał być jej przedmiotem, biedny wikariusz usiadł w milczeniu. Następnie widząc na twarzy panny Gamard oznaki wyraźnej niechęci trwał w niepewności: rozum kazał mu nie znosić zuchwalstwa gospodyni, charakter zaś skłaniał go do unikania sporu. W tej dusznej udręce Birotteau jął się uważnie przyglądać wielkim, zielonym kratom na grubej ceracie, którą od niepamiętnych czasów panna Gamard zostawiała podczas śniadania na stole, bez względu na wytarte brzegi oraz liczne blizny tego nakrycia. Dwaj pensjonarze znaleźli się każdy w swoim trzcinowym fotelu, naprzeciw siebie, na dwóch krańcach tego prostokątnego stołu, którego centrum zajmowała gospodyni i nad którym górowała z wysokości swego krzesła wymoszczonego poduszkami i zwróconego grzbietem do pieca. Ten pokój oraz wspólny salon znajdowały się na parterze pod sypialnią i salonem księdza Birotteau. Kiedy wikariusz brał z rąk panny Gamard filiżankę kawy z cukrem, zmroziło go głębokie milczenie, w jakim miał dopełnić tego tak wesołego zazwyczaj aktu kończącego śniadanie. Nie śmiał patrzeć ani na oschłą twarz Trouberta, ani na groźną twarz starej panny; aby coś z sobą począć, obrócił się w stronę wielkiego, opasłego mopsa, który nie ruszał się nigdy z poduszki koło pieca, zawsze znajdując po lewej talerz pełen łakoci, po prawej zaś miseczkę wody.

– I cóż, kochasiu, czekasz na swoją kawkę?

Osobnik ten, jeden z najważniejszych w domu, ale mało krępujący o tyle, że nie czekał już i zostawiał głos swej pani, podniósł na księdza Birotteau małe oczki ukryte pod fałdami tłuszczu, po czym zamknął je ponuro. Aby zrozumieć męczarnię biednego wikariusza, trzeba powiedzieć, iż obdarzony wymową pustą i dźwięczną jak brzęczenie bąka twierdził on, nie mogąc zresztą przytoczyć żadnego argumentu na poparcie swego mniemania, iż mowa pomaga trawieniu. Panna Gamard, która podzielała tę higieniczną teo-

rię, stale dotąd, mimo ich nieporozumień, rozmawiała z wikariuszem przy stole; ale od kilku dni próżno wyteżał swą inteligencję, daremnie silił się na chytre pytania, aby pociągnąć ją za język. Gdyby szczupłe ramy tej powiastki pozwoliły przytoczyć bodaj jedną z tych rozmów, które ściągały prawie zawsze cierpki i sardoniczny uśmiech na уста księdza Trouberta, dałaby ona skończony obraz prowincjonalnego b e o c j a n i z m u⁸. Ubawiłyby może czytelników osobliwe poglądy, jakie ksiądz Birotteau i panna Gamard wygłaszali w zakresie polityki, religii i literatury. Byłoby niewątpliwie uciechą rzeczą przedstawić czy to powagę, z jaką w roku 1826 podawali w wątpliwość śmierć Napoleona, czy to przypuszczenia, które kazały im wierzyć w istnienie Ludwika XVII⁹, ocalonego dzięki kryjówce w dziupli grubego drzewa. Któż by się nie uśmieiał słysząc, jak na mocy sobie tylko wiadomych racji orzekają, że król francuski sam rozstrzyga o podatkach, że parlament powołany jest po to, aby zniszczyć kler, że w czasie rewolucji zginęło przeszło milion trzysta tysięcy osób na rusztowaniu. Następnie mówili o prasie nie znając liczby dzienników, nie mając najmniejszego pojęcia, czym jest to nowoczesne narzędzie. Wreszcie ksiądz Birotteau słuchał z uwagą panny Gamard, kiedy mówiła, że człowiek jedzący jedno jajko co rano musi niechybnie umrzeć z końcem roku i że widywano takie fakty; że pulchna bułeczka, spożywana bez napoju przez kilka dni z rzędu, leczy ze scyjatyki; że wszyscy robotnicy, którzy pracowali przy zburzeniu opactwa Saint – Martin, pomarli w ciągu pół roku; że za Bonapartego pewien prefekt dokładał wszelkich starań, aby zburzyć wieże Św. Gracjana, i tysiąc podobnych baśni.

Ale w tej chwili Birotteau czuł, że mu język zmartwiał, zdecydował się tedy z żalem jeść w milczeniu. Po chwili uznał, że to milczenie niebezpieczne jest dla jego żołądka, i rzekł zuchwale:

– Wyborna kawa dzisiaj!

Ten akt odwagi był zupełnie bezcelowy. Spojrzawszy w niebo przez małą przestrzeń, która dzieliła nad ogrodem dwa czarne żebra Św. Gracjana, wikariusz odważył się jeszcze:

– Dziś będzie ładniejsza pogoda niż wczoraj.

Na te słowa panna Gamard spojrzała tkliwie na księdza Troubert, po czym zwróciła bezlitośnie surowy wzrok na księdza Birotteau, który szczęściem spuścił oczy.

Trudno o żeńską istotę, która doskonalej od panny Gamard wyrażała smętną dolę starej panny. Ale żeby dobrze odmalować osobę, dzięki której drobne wydarzenia tego dramatu oraz uprzednie życie osób będących jego aktorami nabierają olbrzymiej wagi, trzeba może streścić tu pojęcie, które zawiera w sobie s t a r a p a n n a : codzienne życie urabia duszę, a dusza tworzy fizjonomię. Jeżeli wszystko w społeczeństwie, jak w świecie musi mieć cel, istnieją niewątpliwie egzystencje, których celu i pożytku niepodobna sobie wytłumaczyć. Zarówno moralność, jak ekonomia polityczna odrzucają jednostkę, która konsumuje nie produkując, która zajmuje miejsce na ziemi nie tworząc dokoła siebie ani złego, ani dobrego; zło bowiem jest niewątpliwie dobrem, które nie ujawnia się bezpośrednio. Rzadkie jest, aby siłą rzeczy sta-

⁸ Beocjanizm – głupota (w starożytności mieszkańcy Beocji słynęli z głupoty).

⁹ Ludwik XVII (1785 – 1795) – syn Ludwika XVI i Marii Antoniny, od 1789 r. delfin Francji, zmarł w więzieniu w Temple; rzekome jego ocalenie dało okazję licznym awanturnikom do występowania w roli pretendentów do tronu francuskiego.

re panny nie mieściły się w rzędzie tych nieproduktywnych istot. Otóż o ile świadomość pracy daje czynnej jednostce zadowolenie, które pomaga znosić życie, o tyle pewność, że się jest ciężarem lub nawet nieużytkiem, musi wy-dawać przeciwny skutek; musi w beczynnej istocie budzić dla samej siebie tę samą wzgardę, którą budzi w innych. Ten bezwzględny osąd społeczny jest jedną z przyczyn, które bez ich wiedzy sączą w dusze starych panien ową markotność odbijająca się na ich twarzy. Przesąd, w którym jest może coś prawdy, rzuca zawsze i wszędzie – we Francji więcej niż gdziekolwiek – bar-dzo ujemne światło na kobietę, z którą nikt nie chciał podzielić doli lub zno-sić niedoli życia. Nadchodzi dla panien wiek, w którym świat, słusznie czy nie, potępia je. Jeżeli jest brzydka, zalety charakteru powinny być okupić skazy natury; jeżeli ładna, nieszczęście jej musi mieć jakieś poważne przy-czyny. Nie wiadomo, która z nich bardziej zasługuje na wzgardę. Jeżeli jej paniństwo jest wyrozumowane, jeżeli jest chęcią niezależności, żaden męż-cyzna ani żadna matka nie przebaczy jej, że sprzeniewierzyła się powołaniu kobiety zamykając serce dla uczuć, które płci jej daje tyle wdzięku. Wyrzec się tych cierpień znaczy abdykować z ich poezji i stać się niegodną wszelkich pociech, do których matka ma zawsze niezaprzeczone prawa. Przy tym szla-chetne uczucia, wdzięki, przymioty kobiece rozwijają się jedynie przez nie-ustanne ćwiczenie; zostając panną istota płci żeńskiej staje się wręcz non-sensem: samolubna i zimna, budzi we wszystkich wstręt. Ten nieubłagany wyrok jest niestety, zbyt sprawiedliwy i stare panny znają jego pobudki. Świadomość ta wzrasta w ich sercu w miarę, jak skutki ich smutnego życia odciskają się w ich rysach. Więdną tedy, ponieważ nieustanne wzruszenia szczęścia, które rozpromienia twarz kobiety i daje tyle miękkości jej ruchom, nigdy u niej nie istniały. Stają się cierpkie i zgryźliwe, bo istota, która chybiła swego powołania, jest nieszczęśliwa; cierpi, a cierpienie rodzi złość. W istocie, zanim zacznie mieć sama do siebie żal o swoje osamotnienie, stara panna długo obwinia świat. Od oskarżenia do żądzy zemsty jest tylko krok. Wresz-cie brak wdzięku we wszystkim, co czynią, jest również koniecznym następ-stwem ich życia. Ponieważ nigdy nie czuły potrzeby podobania się, wykwint, smak są dla nich czymś obcym. Widzą tylko siebie. To uczucie każe im bez-względnie wybrać to, co im jest wygodne, z uszczerbkiem tego, co mogłoby być miłe drugim. Nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, co je różni od innych kobiet, spostrzegają to wreszcie i cierpią.

Zazdrość jest niezniszczalnym uczuciem w sercu kobiety. Stare panny są tedy zazdrosne w próżni. Znają tylko niedolę tej jedynej namiętności, jaką mężczyźni przebacząją płci pięknej, ponieważ im pochlebia. Tak więc udre-czone we wszystkich pragnieniach, zmuszone dławić głos natury, stare pan-ny doznają zawsze jakiegoś wewnętrznego przymusu, z którym nie oswajają się nigdy. Czyż nie jest przykro w każdym wieku, zwłaszcza dla kobiety, czy-tać na twarzach odrazę, kiedy losem jej jest budzić w sercach jedynie miłe uczucia? Toteż spojrzenie starej panny jest zawsze kose nie tyle przez skromność, ile przez lęk i wstyd. Nie przebacząją światu swej fałszywej roli, ponieważ nie przebacząją jej samym sobie. Otóż niepodobieństwem jest isto-cie ludzkiej, będącej w ciągłej wojnie z sobą lub w sprzeczności z życiem, zo-stawić innych w spokoju i nie zazdrościć im szczęścia.

Ten bezmiar smutnych myśli widniał w szarych i wyblakłych oczach pan-ny Gamard, szeroka zaś czarna obwódka, która je okalała, świadczyła o dłu-

gich walkach jej samotnego życia. Wszystkie zmarszczki jej twarzy biegły prosto. Linie czoła, głowy i policzków miały coś twardego, oschłego. Pozwalała obojętnie rosnać siwym kosmykom z kilku brodawek, jakie miała na twarzy. Wąskie usta zaledwie pokrywały zbyt długie zęby, zresztą dość białe. Włosy jej, niegdyś czarne, zbieleły w okropnych migrenach. Wypadek ten zmuszał ją do noszenia koku; ponieważ jednak nie umiała go wkładać tak, aby ukryć jego ślady, istniała często przestrzeń między krajem czepka a czarnym sznurkiem, który przytrzymał tę lichy ufryzowaną perukę. Suknia jej, taftowa w lecie, merynosowa w zimie, ale zawsze brunatna, ścisła trochę za bardzo jej niezręczną kibić i chude ramiona. Spod krochmalonego kołnierzyka wyglądała szyja, której czerwona skóra była arystokratycznie prażkowana niby dębowy liść oglądany pod światło. Pochodzenie panny Gamard dostatecznie zresztą tłumaczyło niedostatki jej wdzięków. Była córką handlarza drzewa, wzbogaconego chłopca. Mając lat osiemnaście mogła być świeża i pulchna; ale nie zostało ani śladu z białej cery ani z pięknych kolorów, które lubiła wspominać. Cera jej była wyblakła, jak często u dewotek.

Ze wszystkich rysów orli nos najdosadniej wyrażał despotyzm charakteru, jak płaskie czoło zdradzało ciasnotę myśli. W ruchach miała coś niespokojnego, co wykluczało wdzięk. Sam widok starej panny, gdy wyjmowała z woreczka chusteczkę, aby obetrzeć hałaśliwie nos, pozwoliłby wam odgadnąć charakter jej i obyczaje. Dość wysokiego wzrostu, trzymała się bardzo prosto i usprawiedliwiała spostrzeżenie przyrodnika, który wytłumaczył fizycznie chłód starych panien twierdząc, że ich stawy się zrastają. Kiedy szła, ruch nie rozkładał się harmonijnie na całą osobę, nie tworzył owego wdzięcznego falowania, tak powabnego u kobiet; szła, aby tak rzec, z j e d n e j s z t u k i , wyrastając za każdym krokiem niby posąg komandora. W chwilach dobrego humoru dawała do zrozumienia, jak wszystkie stare panny, że mogła była wyjść za mąż, ale szczęściem przejrzała na czas złą wiarę zalotnika. W ten sposób bezwiednie dyskredytowała własne serce, podkreślając swój zmysł rachuby.

Ten typowy okaz gatunku s t a r e j p a n n y miał bardzo stosowną ramę w pociesznych wzorach tapety w sali jadalnej, przedstawiających jakieś tureckie krajobrazy. Panna Gamard przebywała zazwyczaj w tym pokoju, zdobnym w dwie konsole i barometr. Na fotelu każdego z księży znajdowała się haftowana poduszka o spelzłych kolorach. Salon, gdzie panna Gamard przyjmowała, był godny jej. Łatwo go objaśnimy mówiąc, że nazywał się „żółtym salonem” : portiery były żółte, meble i obicia żółte; na kominku, stojącym w lustro o złożonych ramach, stały kryształowe świeczniki i takiż zegar. Co się tyczy osobistego apartamentu panny Gamard, nikomu nie było dane tam zaglądać. Można było tylko przypuszczać, że pełen był owych gałganków, zużytych mebli, łachów, jakimi się otaczają wszystkie stare panny. Taką była osoba, która miała wywrzeć przemożny wpływ na losy księdza Birotteau.

Nie mogąc użyć w myśl głosu natury energii właściwej kobiecie, a zmuszona jakoś zatrudnić tę energię, stara panna przelała ją w małostkowe intrygi, prowincjonalne plotki oraz w owe samolubne kombinacje, jakie z czasem tworzą wyłączną treść życia wszystkich starych panien. Na swoje nieszczęście Birotteau rozwinął w Zofii Gamard jedyne uczucia, do jakich biedna istota była zdolna: uczucia nienawiści, które, utajone w spokoju i monotonii

ciasnego, prowincjonalnego życia, nabrały tym większej siły przez to, iż rozgrywały się na małych rzeczach i w ciasnej sferze. Birotteau był z rzędu tych ludzi, na których wszystko się wali, ponieważ niezdolni nic widzieć, nie mogą niczego uniknąć: wszystko na nich spada.

– Tak, będzie ładnie – odparł po chwili kanonik, który widocznie zbudził się z zadumy i chciał się okazać grzeczny.

Birotteau przerażony czasem, jaki upłynął między pytaniem a odpowiedzią (pierwszy raz w życiu wypił kawę w milczeniu), opuścił jadalnię ze ściśniętym sercem. Filiżanka kawy ciążyła mu w żołądku. Przechadzał się samotnie po wąskich bukszpanowych alejach, które tworzyły gwiazdę w ogródku. Kiedy się obrócił obszedłszy raz wkoło, ujrzał w progu salonu pannę Gamard i księdza Troubert. Stali w milczeniu: on ze skrzyżowanymi rękami, nieruchomy jak posąg na grobie, ona oparta o oszklone drzwi. Patrzyli weń, jak gdyby licząc jego kroki. Dla człowieka nieśmiałego nie ma uciążliwszej rzeczy niż być przedmiotem ciekawych spojrzeń; ale jeżeli spojrzenia sączą nienawiść, ból, jaki sprawiają, zmienia się w męczarnię. Niebawem ksiądz Birotteau wyroił sobie, że przeszkadza pannie Gamard i kanonikowi. Myśl ta, zrodzona z lęku i poczciwości, wzmogła się tak, że wolał opuścić ogród. Odszedł nie myśląc już o swej kanonii, tak dalece pochłoneła go rozpaczliwa tyrania starej panny przypadkowo, szczęściem dla siebie, znalazł w kościele wiele roboty: było kilka pogrzebów, jeden ślub i dwa chrzty. To mu pozwoliło zapomnieć o strapieniach. Kiedy żołądek oznajmił mu godzinę obiadu, wydobył nie bez przerażenia zegarek i stwierdził, że jest kilka minut po czwartej. Znał punktualność panny Gamard, pośpieszył tedy czym prędzej do domu.

Ujrzał w kuchni pierwsze danie już sprzątnięte. Kiedy wszedł do jadalni, stara panna rzekła głosem, w którym przebijała równocześnie cierpka wymówka i radość, że złapała pensjonarza na przestępstwie:

– Jest wpół do piątej, proszę księdza. Ksiądz wie, że tu się nie czeka na nikogo.

Wikariusz spojrzawszy na zegar, a położenie gazy mającej go chronić od kurzu dowiodło mu, że gospodyni poruszyła zegar, z umysłu posuwając go o kilka minut przed zegarem katedralnym. Nie było sposobu nic odpowiedzieć. Dać wyraz swoim podejrzeniom znaczyło spowodować najstraszliwszy i najbardziej usprawiedliwiony wybuch elokwencji, której panna Gamard umiała, jak wszystkie kobiety jej klasy, dać folgę w podobnym wypadku. Panna Gamard odgadła tysiączne dokuczliwości, jakimi służąca może zatruć życie panu albo żona mężowi, i zwała je na swego pensjonarza. Sposób, w jaki z lubością obmyślała te spiski przeciw domowemu szczęściu biednego księdza, nosił piętno głębokiego ducha złości. Umiała się tak urządzić, aby nigdy wina nie była po jej stronie.

W tydzień po momencie, od którego zaczyna się opowiadanie, ksiądz Birotteau nie mógł nie spostrzec, iż ma do czynienia ze spiskiem uknutym od pół roku. Póki stara panna wykonywała tajemnie swą zemstę i póki wikariusz mógł dobrowolnie trwać w błędzie, nie chcąc wierzyć w złośliwe intencje, choroba moralna niewielkie w nim uczyniła postępy. Ale od przygody z lichtarzem, od posunięcia zegara Birotteau nie mógł już wątpić, że żyje pod wzrokiem nienawiści, której oko wciąż jest nań otwarte. Wówczas oładnęła nim rozpacz; o każdej porze widział cienkie i haczykowate palce panny Gamard gotowe zatopić się w jego sercu! Szczęśliwa, że może żyć uczuciem tak

bogaty w wzruszenia jak zemsta, stara panna lubiła krażyć, ciążyć nad wikariuszem, jak drapieżny ptak kraży nad myszą leśną, nim ją pożre. Od dawna powzięła plan, którego oszołomiony ksiądz niezdolny był odgadnąć, i plan ten wprowadzała w życie z genialnością, jaką umieją rozwijać w drobnych rzeczach osoby samotne, których dusza, niezdolna do wzlotów prawdziwej pobożności, rzuciła się w małostkową dewocję. Wreszcie ostatnia, ale okropna właściwość tej męczarni: utrapienia księdza Birotteau były tej natury, iż człowiek ten, skłonny do zwierzeń, rad, gdy go żałowano i pocieszano, nie miał tej drobnej pociechy, aby je móc opowiedzieć swoim przyjaciółom! Odrobina taktu, jaką zawdzięczał swej nieśmiałości, dawała mu uczuć śmieszność, jaką okryłyby się przyznając, iż zaprzęta się takimi błahostkami. A mimo to błahostki te były całą jego egzystencją, pełną zajęcia w próżni i próżni w zajęciu. To było całe jego bezbarwne i szare życie, w którym zbyt mocne uczucia były nieszczęściem, a szczęściem brak wszelkich wzruszeń. Raj biednego księdza zmienił się tedy nagle w piekło. W końcu męczarnie jego stały się nie do zniesienia. Groza, o jaką go przyprawiała perspektywa wyjaśnień z panną Gamard, rosła z każdym dniem. To tajemne cierpienie, które trulo dni jego starości, oddziaływało na jego zdrowie. Pewnego ranka, kładąc niebieskie prążkowane pończochy, stwierdził ubytek ośmiu linii¹⁰ w obwodzie łydki. Zdumiony tym dotkliwym objawem, postanowił zwrócić się do księdza Troubert z prośbą, aby zechciał być pośrednikiem między nim a starą panną.

Groźny kanonik przyjął go w pokoju zupełnie nagim, opuściwszy szybko gabinet pełen papierów, gdzie pracował bez ustanku i dokąd nikt nie miał wstępu. Wikariusz znalazłszy się w jego obliczu uczuł niemal wstyd, że ma zaprzętać dokuczliwościami panny Gamard człowieka, który zdawał się tak poważnie zajęty. Ale przeszedłszy wszystkie owe tajemne męki i pasowania, które u ludzi pokornych, niezdecydowanych lub słabych towarzyszą nawet błahostkom, zdecydował się, z wezbranym sercem, przedstawić księdzu Troubert swoje położenie. Kanonik słuchał poważnie i chłodno, starając się na próżno powściągnąć uśmiech, który inteligentnym oczom zdradziłby odruch zadowolenia. Płomień strzelił na chwilę spod jego powiek, kiedy Birotteau odmalował mu z wymową prawdziwego uczucia gorycze, jakimi go pojono; ale Troubert zasłonił oczy gestem dość pospolitym u ludzi żyjących myślą i zachował zwykłą godność. Kiedy wikariusz przestał mówić, daremnie szukał na twarzy Trouberta, w tej chwili upstrzonej plamami żółtymi jeszcze niż zwykle, śladu uczuć, które musiał zbudzić w tajemniczym księdzu. Przetrawszy chwilę w milczeniu, kanonik odpowiedział. Każde jego słowo musiało być z dawna odmierzone i odważone; odpowiedź ta byłaby dla inteligentnego człowieka dowodem zdumiewającej głębi jego duszy i potęgi umysłu. Pognębił wikariusza powiadając, że wszystko to dziwi go tym więcej, iż sam, bez zwierzeń księdza Birotteau, nie byłby spostrzegł nic; nieuwagę tę przypisuje swoim poważnym zajęciom, swojej pracy oraz pochłonięciu myślami, które nie pozwalają mu zwracać uwagi na drobiazgi. Wtrącił mimochodem – ale tak, aby się nie zdawało, że chce sądzić postęпки człowieka, którego wiek i nauka zasługują na szacunek – że „niegdyś samotnicy niewiele myśleli o swym pożywieniu i mieszkaniu w pustelniach, gdzie oddawali się świętym kontemplacjom”, i że „dzisiaj kapłan wszędzie może myślą swoją stworzyć

¹⁰ Linia – drobna miara długości (1/12 cala).

sobie pustelnię”. Następnie wracając do sprawy wikariusza dodał, że te nieporozumienia są dlań czymś zupełnie nowym. Przez dwanaście lat nic podobnego nie zaszło pomiędzy panną Gamard a czcigodnym księdzem Chapeloud. Może (dodał) oczywiście podjąć się roli rozjemcy między wikariuszem a gospodynią, ile że przyjaźń jego dla niej nie przekracza granic zakreślonych przez Kościół wiernym swoim sługom; ale wówczas sprawiedliwość wymaga, aby wysłuchał i panny Gamard. Poza tym (mówił) nie zauważył w niej żadnej zmiany; zawsze była taka; on sam chętnie poddaje się pewnym jej dziwactwom, wiedząc, że ta czcigodna panienka jest wzorem wcielonej dobroci i słodyczy; te lekkie zmiany humoru trzeba przypisać chorobie piersiowej, o której nie mówi i którą znosi z rezygnacją chrześcijanki... W końcu oświadczył wikariuszowi, że „o ile jeszcze kilka lat spędzi z panną Gamard, lepiej będzie umiał poznać i ocenić skarby tego przezacnego charakteru”.

Ksiądz Birotteau wyszedł zawstydzony. Znalazłszy się w okrutnej konieczności kierowania się własnym rozumem, osądził pannę Gamard wedle siebie. Pocziwiec mniemał, iż jeśli usunie się na kilka dni, wówczas z braku pokarmu nienawiść starej panny wygaśnie. Postanowił tedy udać się, jak bywało nieraz, na wieś, dokąd pani de Listomère przenosiła się z końcem jesieni, w porze, gdy niebo w Turenii bywa zazwyczaj czyste i pogodne. Biedny człowiek! spełniał właśnie tajemne życzenia swej strasznej przyjaciółki, której zamiary mogłaby udaremnić jedynie mnisza cierpliwość; ale ksiądz Birotteau, nie domyślający się niczego, nie znający własnych spraw, musiał paść jak jagniątko pod pierwszym ciosem rzeźnika.

Posiadłość pani de Listomère na równinie między Tours a wyżem Św. Jerzego, wystawiona na południe, otoczona skałami, łączyła wszystkie uroki wsi i wygody miasta. Wystarczyło dziesięć minut, aby się dostać od mostu w Tours do bramy tego domu nazywanego „Skowronkiem”; wielka zaleta w stronach, gdzie nikt nie chce się trudzić dla niczego, nawet dla własnej przyjemności. Ksiądz Birotteau bawił w „Skowronku” blisko od dziesięciu dni, kiedy pewnego ranka przy śniadaniu odzwiertny oznajmił mu, że pan Caron chce z nim mówić. Pan Caron był to prawnik prowadzący interesy panny Gamard. Birotteau, nie pamiętając ani wiedząc, aby miał jakąkolwiek sprawę z kimkolwiek, wstał od stołu i z pewnym lękiem wyszedł do adwokata; zastał go na terasie siedzącego skromnie na balustradzie.

– Skoro zamiar księdza dobrodzieja, aby opuścić mieszkanie u panny Gamard, stał się oczywisty... – zaczął prawnik.

– Ależ, proszę pana – wykrzyknął Birotteau – ja nigdy nie miałem zamiaru opuszczać...

– Jednakże, proszę księdza, musiał ksiądz chyba porozumieć się w tym duchu z moją klientką, skoro ona mnie przysłała, abym się dowiedział, czy ksiądz długo zostanie na wsi. Dłuższa nieobecność jako nie przewidziana w umowie, może dać powód do wdrożenia kroków! Otóż panna Gamard uważając, iż warunkiem najmu...

– Panie – rzekł zdumiony Birotteau, jeszcze raz przerywając adwokatowi – nie sądziłem, aby trzeba było uciekać się do sądów po to, by...

– Panna Gamard, która chce uprzedzić wszelkie komplikacje – rzekł pan Caron – przysłała mnie, abym się porozumiał z księdzem.

– A więc, jeżeli pan będzie tak uprzejmy zejść jutro – odparł znów ksiądz Birotteau – poradzę się i ja kogoś z mojej strony.

– Niech i tak będzie – rzekł Caron z ukłonem.

– I kauzyperda odszedł. Biedny wikariusz przerażony uporem, z jakim panna Gamard go ściga, wszedł do jadalni ze zmienioną twarzą. Na jego widok zasypano go pytaniami:

– Cóż się stało, księżu Birotteau?

Zrozpaczony ksiądz usiadł bez odpowiedzi, tak mocno ogarnęło go poczucie nieszczęścia. Ale po śniadaniu, kiedy kilkoro jego przyjaciół skupiło się w salonie przy dobrym ogniu, Birotteau opowiedział naiwnie szczegóły swej przygody. Słuchacze, którzy zaczynali się już nudzić na wsi, zainteresowali się tą intrygą, tak bardzo w duchu życia prowincji. Wszyscy wzięli stronę księdza przeciw starej panie.

– Jak to? – rzekła pani de Listomère. – Czy ksiądz nie widzisz jasno, że kanonik Troubert chce twego mieszkania?

Tutaj historyk miałby prawo nakreślić portret tej damy; ale osądził, iż nawet ci, którym system kognomologii Sterne'a¹¹ jest obcy, nie mogliby wymówić tych trzech słów: Pani de Listomère! nie wyobrażając sobie osoby szlachetnej, godnej, miarkującej surową dewocję staroświeckim klasycyzmem – monarchicznym wykwiśnięciem i dwornością manier; dobrej, ale nieco sztywnej; mówiącej lekko przez nos; pozwalającej sobie na lekturę *Nowej Heloizy* Rusa, na teatr i noszącej jeszcze sztuczne włosy.

– Nie powinien ksiądz ustępować tej starej jędzy! – wykrzyknął pan de Listomère, porucznik okrętu, przybyły na urlop do ciotki. – Jeśli ksiądz będzie miał odwagę i pójdzie za moimi radami, niebawem będziemy mieli spokój.

Kolejno każdy zaczął roztrząsać postępek panny Gamard z przenikliwością właściwą mieszkańcom prowincji, którym nie można odmówić talentu obnażania najtajniejszych ludzkich pobudek.

– To nie to – rzekł stary obywatel, który znał dobrze te strony. – W tym tkwi coś poważniejszego, coś, czego jeszcze nie zgaduję. Troubert jest za mądry, aby go można było tak łatwo przejrzeć. Nasz kochany Birotteau jest dopiero w początku swoich utrapień. Czy odzyskałby szczęście i spokój nawet ustępując Troubertowi swego mieszkania? Wątpię. Jeżeli Caron przyszedł księdzu oznajmić – dodał zwracając się do osłupiałego wikariusza – że ksiądz ma zamiar rozstać się z panną Gamard, to z pewnością panna Gamard ma zamiar wyparować księdza z domu... Nie ma co, opuścisz dom po woli czy po niewoli. Tacy ludzie nigdy nie robią nic na wiatr i grają tylko na pewne. Ten stary szlachcic, nazwiskiem pan de Bourbonne, wyrażał wszystkie pojęcia prowincji równie wiernie, jak Wolter wyrażał ducha swojej epoki. Chudy ten starzec był zaniedbany w ubraniu, jak człowiek, którego wartość terytorialna znana jest w departamencie. Fizjonomia jego, wygarbowana słońcem, była nie tyle inteligentna, ile chytra. Nawykły ważyć słowa, obmyślać każdy krok, ukrywał głębokie wyrachowanie pod zwodniczą prostotą. Toteż od pierwszego rzutu oka można było zgadnąć, że podobnie jak chłop normandzki, człowiek ten musiał mieć zawsze górę w każdej sprawie. Był bardzo biegły w o i n o l o g i i ¹², ulubionej wiedzy Tureńczyków. Umiał zaokrąglić swoje łąki kosztem namulów Loary, tak aby się nie narazić na procesy z rządem. Sztuczka

¹¹ Kognomologia – „nauka o imionach własnych”, jaką pół serio, pół żartem głosił w swych utworach angielski pisarz, przedstawiciel tzw. sentymentalizmu, Laurence Sterne (1713–1768).

¹² Oinologia – stworzony przez Balzaka dla żartu wyraz (od gr. oinos – wino): wiedza o winie.

ta utrwalila wysokie mniemanie o jego talentach. Gdyby ktoś, oczarowany konwersacją pana de Bourbonne, spytał kogoś w okolicy o jego życiorys, przysłowiowa odpowiedź wszystkich, co mu zazdrościli (a było takich dużo) brzmiałaby: – O, to stary wyga! W Turenii, jak przeważnie na prowincji, zazdrość jest rdzeniem języka.

Uwaga pana de Bourbonne spowodowała chwilowe milczenie. Osoby składające to małe grono zdawały się namyślać. Wśród tego oznajmiono pannę Salomon de Villenoix. Pragnąc przyjść z pomocą księdzu Birotteau przybyła z Tours, a nowiny, jakie przywiozła, zmieniły zupełnie postać rzeczy. W chwili jej przybycia wszyscy, z wyjątkiem szczwanego ziemianina, radzili księdzu podjąć wojnę przeciw spółce Troubert – Gamard pod auspicjami arystokratycznego towarzystwa, które go miało wspierać w tej kampanii.

– Generalny wikariusz, który prowadzi dział personalny – rzekła panna Salomon – zachorował; arcybiskup powierzył jego miejsce księdzu Troubert. Nominacja na kanonika zależy tedy w zupełności od niego. Otóż wczoraj u panny de la Blottière ksiądz Poirel mówił o przykrościach, jakie ksiądz Birotteau sprawia pannie Gamard, jak gdyby chcąc usprawiedliwić niełaske, która spadnie na naszego kochanego wikariusza: „Ksiądz Birotteau wiele stracił tracąc nieboszczyka Chapeloud – powiadał – od śmierci tego zacnego kanonika okazało się, że...”. Tu nastąpiły domysły, potwarze itd. Rozumiecie?

– Troubert będzie generalnym wikariuszem – rzekł uroczyście pan de Bourbonne.

– No, księżel! – rzekła pani de Listomère spoglądając na wikarego – co ksiądz woli: być kanonikiem czy zostać u panny Gamard?

– Być kanonikiem! – krzyknął powszechnie chór.

– A więc – odparła pani de Listomère – trzeba ustąpić księdzu Troubert i pannie Gamard. Czyż ta wizyta Carona nie daje pośrednio do zrozumienia, że jeżeli zgodzisz się ustąpić, zostaniesz kanonikiem? Z rączki do rączki.

Wszyscy jęli sławić przenikliwość i rozum pani de Listomère, z wyjątkiem barona de Listomère, jej bratanka, który rzekł jowialnie do pana de Bourbonne:

– Cieszyłem się na starcie okrętów „Gamard” i „Birotteau”.

Ale, nieszczęściem dla wikariusza, siły w tej wojnie między *s w i a t e m* a starą panną wspieraną przez księdza Troubert nie były równe. Rychło nadeszła chwila, w której walka miała się zarysować wyraźniej, urosnąć i przybrać olbrzymie proporcje. Z porady pani de Listomère i jej stronników, którzy rozpalili się do tej intrygi ożywiającej prowincjonalną pustkę, posłano po pana Caron. Prawnik wrócił z godną uwagi szybkością, która przeraziła jedynie pana de Bourbonne.

– Odłóżmy wszelką decyzję do ściślejszych informacji – orzekł ten Fabiusz¹³ w szlafroku, który mocą głębokiej refleksji przenikał wysokie kombinacje tureńskiej szachownicy.

Chciał oświecić księdza Birotteau co do niebezpieczeństw jego pozycji. Ale mądrość „starego wygi” nie wyszła na rękę namiętnościom chwili, toteż nie bardzo zwracano na niego uwagę. Narada adwokata z księdzem Birotteau trwała krótko. Wikariusz wrócił bardzo pomieszany, mówiąc:

– Żąda stwierdzenia na piśmie mojej cesji.

¹³ Fabius Quintus Maximus (zm. 202 p.n.e.) – wódz rzymski, ostrożną swą taktyką wstrzymywał pochód Hannibala w Italii, za co otrzymał przydomek Cunctator (zwlekający).

- Cóż to za okropne słowo? – spytał porucznik okrętu.
- Co to ma znaczyć? – wykrzyknęła pani de Listomère.
- To znaczy po prostu, iż ksiądz ma oświadczyć, że chce opuścić dom panny Gamard – odpowiedział pan de Bourbonne zażywając tabakę.
- Tylko tyle? Niech ksiądz podpisze! – rzekła pani de Listomère. – Jeżeli ksiądz masz poważny zamiar opuścić jej dom, nie ma żadnej przeszkody do stwierdzenia pańskiej woli.

Wola księdza Birotteau!

- Słusznie – rzekł pan de Bourbonne zamykając tabakierkę suchym gestem, którego znaczenia niepodobna oddać, bo to był cały język. – Ale zawsze to niebezpieczna rzecz pisać – dodał kładąc tabakierkę na kominku z miną zdolną przerazić wikariusza.

Birotteau był tak oszołomiony tym przewrotem wszystkich jego pojęć, szybkością wypadków, które go zaskakiwały bez obrony, lekkością, z jaką przyjaciele traktowali najdroższe sprawy jego samotnego życia, że stał bez ruchu jak lunatyk, nie myśląc nic, słuchając tylko i starając się zrozumieć sens padających słów. Wziął pismo pana Caron i przeczytał je z pozorami uwagi; ale był to ruch zupełnie machinalny. I podpisał ten papier, którym uznawał, iż zrzeka się dobrowolnie mieszkania u panny Gamard, jak również jadania u niej w myśl zawartego układu. Kiedy wikariusz podpisał, imć Caron wziął akt i zapytał, gdzie jego klientka ma odstawić rzeczy należące do księdza. Birotteau wskazał dom pani de Listomère. Skinieniem głowy dama ta zgodziła się przyjąć księdza na kilka dni, nie wątpiąc, iż niebawem zostanie kanonikiem. Stary obywatel poprosił o pokazanie tej cesji; pan Caron podał mu akt.

- Jak to – spytał wikariusza przeczytawszy – istnieje tedy między księdzem a panną Gamard jakaś umowa pisana? Gdzie ona jest? Jakie są jej warunki?

- Akt jest u mnie – odparł Birotteau.

- Czy pan zna jego zawartość? – spytał obywatel adwokata.

- Nie, panie – rzekł pan Caron wyciągając rękę, aby odebrać nieszczęsny papier.

- „Ba! – powiedział sobie w duchu stary obywatel – ty, mości adwokacie, wiesz z pewnością, co ten akt zawiera; ale nie głupi jesteś nam to powiedzieć”.

I pan de Bourbonne oddał adwokatowi cesję.

- Gdzie ja podzieję wszystkie swoje meble – wykrzyknął Birotteau – i moje książki, moją piękną bibliotekę, moje piękne obrazy, mój czerwony salon, słowem, całe urządzenie?!

I rozpacz nieboraka, który znalazł się, aby tak rzec, na bruku, miała coś tak naiwnego, tak dobrze malowała czystość jego obyczajów, nieświadomość spraw tego świata, że pani de Listomère i panna Salomon zaczęły go pocieszać tonem matki, która obiecuje dziecku zabawkę.

- Ech! będzie się ksiądz kłopotał o takie drobiazgi? Ależ znajdziemy księdzu zawsze jakieś mieszkanie, mniej zimne, mniej czarne, niż u panny Gamard. Gdyby się nie znalazło coś, co by się księdzu nadało, to cóż, jedna z nas weźmie księdza do siebie. No, siadajmy do triktraka. Jutro pójdzie ksiądz do księdza Troubert poprosić go o poparcie: zobaczy ksiądz, jak księdza dobrze przyjmie!

Ludzie słabi nabierają otuchy równie szybko jak się nastraszyli. Zatem biedny Birotteau, olśniony widokami mieszkania u pani de Listomère, zapomniał o bezpowrotnej ruinie szczęścia, którego tak długo pragnął, którym się tak napawał. Ale wieczorem, nim usnął, trafił się jak człowiek, dla którego kłopoty przenosin oraz zmiana przyzwyczajęń były ostateczną klęską. Dręczył się, czy znajdzie dla swojej biblioteki pomieszczenie równie dogodne. Widząc swoje książki wędrujące, meble porozwlekane, dom cały w nieładzie, pytał tysiąc razy w duchu, czemu pierwszy rok u panny Gamard był tak błogi, a drugi tak okrutny? I wciąż przygoda jego była ową studnią bez dna, w której tonął jego rozum. Kanonia nie wydawała mu się już dostatecznym odszkodowaniem za tyle nieszczęść; porównywał swoje życie z pończochą, w której gdy jedno oczko puści, wszystko się pruje. Zostawała mu panna Salomon. Ale tracąc stare złudzenia, biedny ksiądz nie śmiał już wierzyć w młodą przyjaźń.

W *città dolente*¹⁴ starych panien spotyka się, zwłaszcza we Francji, wiele takich, których życie jest codzienną ofiarą szlachetnie składaną na ołtarzu szlachetnych uczuć. Jedne dumnie pozostają wierne sercu, które śmierć im zbyt szybko wydarła: te męczennice miłości umieją pozostać kobietami duszą. Inne posłuszne są dumie rodzinnej, która ku naszemu wstydu z każdym dniem upada, i poświęcają się dla kariery brata lub dla osieroconych bratanek: te stają się matkami zostając dziewicami. Te stare panny sięgają najwyższego heroizmu swojej płci, poświęcając wszystkie kobiece uczucia kultowi nieszczęścia. Idealizują postać kobiety wyrzekając się słodczy swego losu, a przyjmując jego trudy. Żyją otoczone blaskiem swego poświęcenia, a mężczyźni skłaniają z szacunkiem głowę przed ich zwiędłymi rysami. Panna de Sombreuil¹⁵ nie była ani kobietą, ani panną; była i będzie zawsze żywą poezją. Panna Salomon należała do tych heroicznych istot. Poświęcenie jej było tym wspanialsze, iż miało pozostać bez chwały, będąc równocześnie każdodzienną męką. Będąc młodą i piękną pokochała, była kochana; narzeczony jej postradał zmysły. Przez pięć lat poświęciła się, z całą odwagą miłości, pielęgnowaniu nieszczęśnika, z którego szaleństwem zespoliła się tak zupełnie, iż nie uważała go za szalonego. Była to zresztą osoba prosta w obejściu, szczerą w mowie; blada jej twarz, mimo regularności rysów, miała wiele wyrazu. Nie mówiła nigdy o swoim życiu. Czasami tylko nagły deszcz, który ją wstrząsał, kiedy słyszała opowiadanie jakiejś strasznej lub smutnej przygody, odsłaniał w niej bogactwo duszy, jakie rozwija się z wielkich bólów. Osiadła w Tours straciwszy towarzysza swego życia. Nikt nie mógł tam ocenić jej istotnej wartości; uchodziła za *d o b r ą o s o b ę*. Czyniła wiele dobrego, czuła zwłaszcza pociąg do istot słabych. Z tego tytułu biedny wikariusz musiał w niej obudzić głęboką sympatię.

Panna de Villenoix, która rano jechała do miasta, zabrała ze sobą księdza Birotteau, wysadziła go na ulicy Katedralnej, skąd ruszył w stronę Klasztoru. Pilno mu było przybyć, aby ocalić z rozbicia bodaj kanonię i czuwać nad przeniesieniem mebli. Zadzwoił nie bez gwałtownego bicia serca, jakiego doznał na progu domu, dokąd zwykł był wchodzić od czternastu lat, w któ-

¹⁴ *Città dolente* (wł.) – kraina cierpień, tak nazywa piekło Dante w *Boskiej komedii*.

¹⁵ Panna de Sombreuil (1774–1823) – córka marszałka de Sombreuil, uwięzionego w 1792 r., w okresie masowych egzekucji, odwagą swą i poświęceniem ocaliła ojca, zwróciwszy się o łaskę do ludu. Heroizm jej opiewali poeci, m. in. Wiktor Hugo.

rym mieszkał i skąd skazał się na wiekuiste wygnanie. A tak marzył, że umrze w tym pokoju, śladem księdza Chapeloud! Marianna przyjęła wikariusza ze zdziwieniem. Oświadczył, że chce się widzieć z księdzem Troubert, i skierował się w stronę mieszkania kanonika; ale Marianna krzyknęła:

– Kanonik już tam nie mieszka, proszę księdza; jest w dawnym księdzowym mieszkaniu.

Słowa te wstrząsnęły wikariuszem. Zrozumiał wreszcie charakter Trouberta oraz jego powoli gotowaną zemstę, kiedy go ujrzał w bibliotece księdza Chapeloud, siedzącego w jego pięknym, gotyckim fotelu, sypiącego zapewne w jego łóżku, obalającego jego testament i wreszcie wydziedziczającego przyjaciela tego Chapeloud, który go tak długo więził u panny Gamard, broniąc mu wszelkiego awansu i zamykając mu salony w Tours.

Jaka różdżka czarnoksiężka dokonała tej metamorfozy? Czyż to wszystko nie należało już do księdza Birotteau? To pewna, iż widząc sardoniczny uśmiech, z jakim Troubert spoglądał na tę bibliotekę, biedny Birotteau zrozumiał, że przyszedł generalny wikariusz pewien jest wiecznego posiadania łupu po tych, których tak okrutnie nienawidził: księdza Chapeloud jako swego wroga, a księdza Birotteau, ponieważ odnajdywał w nim jeszcze tamtego. Na ten widok tysiączne myśli zaroily się w sercu nieboraka i pograżyły go jak gdyby we śnie. Stał nieruchomy, niby urzeczony okiem Trouberta, który spoglądał nań bystro.

– Nie sądzę, księże – rzekł wreszcie Birotteau – abyś mnie chciał pozbawić rzeczy, które należą do mnie. Jeżeli pannie Gamard było tak pilno dać księdzu lepsze pomieszczenie, winna była bądź co bądź zachować tyle względów, aby mi zostawić czas na spakowanie książek i zabranie mebli.

– Mój księże – rzekł zimno ksiądz Troubert – panna Gamard oznajmiła mi wczoraj, że się ksiądz wyprowadza, nie wiem z jakiej przyczyny. Jeżeli mnie pomieściła tutaj, to z musu. Ksiądz Poirel zajął moje mieszkanie. Nie wiem, czy rzeczy znajdujące się w tych pokojach należą do panny Gamard, czy nie; jeżeli są pańskie, znasz ksiądz jej rzetelność: świętość jej życia jest rękojmią jej uczciwości. Co do mnie, nie jest księdzu tajna prostota moich obyczajów. Sypiałem piętnaście lat w gołych ścianach nie zważając na wilgoć, która z biegiem czasu mnie zabiła. Mimo to, gdyby ksiądz chciał na nowo zająć to mieszkanie, ustąpiłbym go chętnie.

Słyszając te straszliwe słowa Birotteau zapomniał o kanonii i zbiegł z chyżością młodzieńca, aby szukać panny Gamard. Znalazł ją na dole w obszernej sieni, która łączyła dwa apartamenty.

– Pani – rzekł kłaniając się i nie zwracając uwagi na zgryźliwy i drwiący uśmiech bładzacy po jej wargach ani na niezwykły płomień dający jej oczom blask oczu tygrysa – nie umiem sobie wytłumaczyć, że pani nie zaczęła, aż zabiorę swoje meble, zanim...

– Jak to! – przerwała. – Czy wszystkich pańskich rzeczy nie złożono u pani de Listomère?

– Ale moje meble!

– Czy ksiądz nie czytał umowy? – rzekła stara panna tonem, który trzeba by móc zanotować muzycznie, aby pokazać, ile odcieni nienawiści umie zamknąć w akcencie każdego słowa.

Zdawało się, że panna Gamard urosła; oczy jej błysnęły jeszcze mocniej, twarz rozpromieniła się, całe ciało zadrżało z rozkoszy. Ksiądz Troubert otwo-

rzył okno, aby móc lepiej czytać jakieś *in folio*. Birotteau stał jakby rażony gromem. Panna Gamard krzyczała mu w uszy głosem dźwięcznym jak dźwięk trąbki następujące słowa:

– Czyż nie umówiliśmy się, iż w razie gdyby się ksiądz wyprowadził, meble przechodzą na moją własność, jako odszkodowanie za różnicę między pensją księdza a pensją, którą płacił ksiądz Chapeloud? Otóż ponieważ księdza Poirel mianowano kanonikiem...

Słyszając te ostatnie słowa Birotteau pochylił się lekko, jak gdyby kłaniając się starej paninie; po czym wyszedł śpiesznie. Bał się, iż gdyby został dłużej, zemdleje i dostarczy zbyt wielkiego tryumfu nieubłaganym wrogom. Idąc jak człowiek pijany zaszedł do pani de Listomère, gdzie znalazł w sieni swoją białiznę, ubranie i papiery mieszczące się w jednej walizce. Na widok szczątków swego dobytku nieszczęśliwy ksiądz usiadł i ukrył twarz w dłoniach, aby zasłonić swoje oczy we łzach. Ksiądz Poirel kanonikiem! On, Birotteau, został bez dachu, bez środków i bez mebli!

Szczęściem panna Salomon przejeżdżała tamtędy. Odźwierny, który zrozumiał rozpacz nieboraka, skinał na woźnicę. Po kilku słowach wymienionych między starą panną a odźwiernym wikariusz dał się zaprowadzić półżywy do wiernej przyjaciółki, która nie zdołała zeń wydobyć nic prócz słów bez związku. Panna Salomon, przerażona tym gwałtownym zamętem w głowie już tak słabej, zabrała go natychmiast do „Skowronka”, przypisując ten początek pomieszania zmysłów wrażeniu, jakie sprawiła nominacja księdza Poirel. Nie знаła umowy księdza z panną Gamard dla tej prostej przyczyny, iż on sam nie zdawał sobie sprawy z jej doniosłości. Że zaś jest w naturze człowieka, iż komizm miesza się niekiedy z najbardziej dramatycznymi rzeczami, dziwne odpowiedzi księdza Birotteau przyprawiły niemal o uśmiech pannę Salomon.

– Chapeloud miał słuszość – powiedział. – To potwór!

– Kto? – spytała.

– Chapeloud. Wszystko mi zabrał.

– Kto, Poirel?

– Nie, Troubert.

Wreszcie przybyli do „Skowronka”. Przyjaciele księdza otoczyli go tak gorliwymi staraniami, iż pod wieczór uspokoili go i zdołali zeń wydobyć relację o tym, co się zdarzyło w ciągu rana.

Flegmatyczny ziemianin zażądał przede wszystkim aktu, w którym od wczoraj domyślał się słowa zagadki. Birotteau wydobył z kieszeni nieszczęsny papier, podał go panu de Bourbonne, który odczytał go pośpiesznie i doszedł niebawem do takiej klauzuli:

„Ponieważ istnieje różnica ośmiuset franków rocznie między pensją, jaką płacił nieboszczyk ksiądz Chapeloud, a ta, za jaką rzeczona Zofia Gamard godzi się przyjąć w swój dom na powyżej wyszczególnionych warunkach rzeczony Franciszka Birotteau, zważywszy, iż podpisany Franciszek Birotteau uznaje się ponad wszelką wątpliwość niezdolnym przez wiele lat opłacać pensji płaconej przez pensjonariuszy panny Gamard, a w szczególności przez księdza Troubert, w uznaniu wreszcie rozmaitych zaliczek wypłacanych mu przez podpisaną Zofię Gamard, rzeczony Birotteau zobowiązuje się zostawić jej tytułem odszkodowania ruchomości, które będą w jego posiadaniu w chwili jego zgonu, lub też gdyby dla jakiej bądź przyczyny opuścił z dobrej

woli w jakiegokolwiek porze obecnie zajmowany lokal i przestał korzystać ze świadczeń zastrzeżonych w zobowiązaniu zaciągniętym względem niego przez pannę Gamard...”

– Tam do licha, cóż to za historia – wykrzyknął obywatel – i co za szpony ma ta rze –
c z o n a Zofia Gamard!

Biedny Birotteau nie wyobrażając sobie w swoim dziecięcym mózgu żadnej przyczyny, która by go mogła rozdzielić z panną Gamard, spodziewał się umrzeć w jej domu. Nie pamiętał zupełnie tej klauzuli, której punktów nawet nie rozważył w owym czasie, tak mu się wydawała sprawiedliwa wówczas, gdy w swoim pragnieniu zamieszkania u starej panny byłby podpisał wszystkie pergaminy, jakie by mu podsunęto. Naiwność ta była tak czcigodna, a postępowanie panny Gamard tak ohydne, los biednego starca miał w sobie coś tak żalospnego, a niemoc czyniła go tak wzruszającym, że w pierwszej chwili oburzenia pani Listomère wykrzyknęła:

– Ja jestem przyczyną podpisania aktu, który księdza zrujnował, do mnie należy zwrócić księdzu szczęście, którego cię pozbawiłam.

– Ba – rzekł stary szlachcic – ten akt kryje w sobie znamiona podstępu; tu jest punkt do procesu...

– Wybornie! Ksiądz wniesie skargę. Jeżeli przegra w Tours, wygra w Orleanie. Jeżeli przegra w Orleanie, wygra w Paryżu – wykrzyknął baron de Listomère.

– Jeżeli chce się procesować – odparł zimno pan de Bourbonne – radzę mu ustąpić wpraw z wikariatu.

– Poradzimy się adwokatów – rzekła pani de Listomère – i będziemy się procesowali, jeśli trzeba. Ale ta sprawa jest zbyt hańbiąca dla panny Gamard i może się stać zbyt szkodliwa dla księdza Troubert, abyśmy nie mieli użyć jakieś ugody.

Po dojrzałej rozwadze każdy przyrzekł pomoc księdzu Birotteau w walce, jaka go czekała ze stronnikami jego wrogów. Niezawodne przecucie, nieokreślony prowincjonalny instynkt kazał wszystkim łączyć te dwa nazwiska: Troubert i Gamard. Ale nikt z osób, które znajdowały się wówczas u pani de Listomère, z wyjątkiem „starego wygi”, nie miał jasnego pojęcia o doniosłości podobnej walki. Pan de Bourbonne odciągnął biednego księdza na bok.

– Z czternastu osób, które są tutaj, za dwa tygodnie ani jednej nie będzie miał ksiądz za sobą. Jeżeli ksiądz będzie potrzebował pomocy, jedynie ja będę może na tyle śmiały, aby cię wziąć w obronę. Ja znam prowincję, ludzi, stosunki, a co ważniejsze, interesy! Wszyscy pańscy przyjaciele, mimo że pełni dobrych intencji, pchają cię na złą drogę, z której ksiądz nie wybrniesz. Posłuchaj mojej rady. Jeżeli ksiądz chcesz żyć w spokoju, rzuć swój wikariat, opuść Tours. Nie mów, dokąd się udajesz, ale postaraj się o jakieś odległe probostwo, gdzie by Troubert nie mógł cię dosięgnąć.

– Opuścić Tours? – wykrzyknął wikariusz z nieopisanym przerażeniem.

Była to dla niego śmierć. Czyż to nie znaczyło zniszczyć wszystkie korzenie, którymi tkwił w świecie? U ludzi bezzennych przyzwyczajenie zastępuje uczucia. Kiedy ten ustrój moralny, mocą którego nie tyle żyją, ile przechodzą przez życie, połączy się ze słabym charakterem, wpływ rzeczy zewnętrznych wyrasta u nich do zdumiewających rozmiarów. Birotteau stał się podobny do rośliny: przeszczepić go znaczyło podciąć jej niewinne życie. Jak drzewo, aby

żyć, musi wciąż ssać te same soki i tkwić w jednym gruncie, tak Birotteau musiał wciąż dreptać po katedrze, kręcić się w miejscu, gdzie nawykł się przechadzać, mijać te same ulice, odwiedzać trzy salony, gdzie co wieczór grywał w wista lub triktraka.

– A! nie pomyślałem o tym – odparł pan de Bourbonne spoglądając na księdza z litością.

Całe Tours dowiedziało się niebawem, że baronowa de Listomère, wdowa po generale –poruczniku, wzięła do domu księdza Birotteau, wikariusza katedry. Fakt ten, który wiele osób podawało w wątpliwość, przeciał stanowczo wszystkie kwestie i rozgraniczył stronnictwa, zwłaszcza gdy panna Salomon odważyła się pierwsza mówić o podstępie i o procesie. Drażliwa ambicja, która cechuje stare panny, oraz jej wrodzona zaciekłość sprawiły, iż panna Gamard uczuła się mocno dotknięta rolą pani de Listomère. Baronowa była to osoba z wielkiego świata, wykwiwna, osoba, której dobrego smaku, dworności, pobożności nikt nie mógł podać w wątpliwość. Biorąc w dom księdza Birotteau potępiła tym samym jawnie pannę Gamard, krytykowała pośrednio jej zachowanie i sankcjonowała niejako żale wikariusza.

Dla zrozumienia tej historii trzeba wyjaśnić ile siły użyczała pannie Gamard bystrość, z jaką stare kobiety zdają sobie sprawę z postępów drugich, jak również jaką bronią rozporządzali jej poplecznicy. Stara panna wraz z milczącym księdzem Troubert spędzała wieczory w kilku domach, gdzie zbierała się garstka osób zespolonych wspólnością upodobań i analogią sytuacji. Było to paru starców żyjących plotkami i zainteresowaniami swoich gospodyń, kilka starych panien trawiących dni na rozbieraniu słów, na ważeniu kroków swoich sąsiadów oraz ludzi pomieszczonych wyżej lub niżej nich w hierarchii społecznej; wreszcie kilka starych kobiet wyłącznie zajętych destylowaniem plotek, prowadzeniem rejestru wszystkich majątków i kontrolowaniem cudzych czynności; przepowiadały małżeństwa i krytykowały równie cierpko postępowanie swoich przyjaciółek. Osoby te, rozmieszczone w mieście niby naczynia włoskowate w roślinie, łaknęły, niby liść rosy, nowinek, tajemnic każdego stadła, wysysały je i udzielały ich natychmiast księdzu Troubert, jak liście udzielają łądydze wilgoci, którą wchłonęły. Za czym co wieczora parte ową potrzebą wzruszeń, która mieszka w każdej istocie, zacne te dewotki sporządzały dokładny bilans miejscowych stosunków, rozwijając w tym bystrość godną weneckiej Rady Dziesięciu i uprawiając szpiegostwo, niezawodne siłą swego zapału. Następnie, odgadły tajemną przyczynę jakiegoś wypadku, miały tę ambicję, aby wchłonąć całą mądrość swego sanhedrynu i dzięki temu grać pierwsze skrzypce plotek, każda w swojej sferze. Kongregacja ta, beczynna a tak czynna, niewidzialna a widząca wszystko, niema a gadająca bez ustanku, posiadała wpływ nie niebezpieczny na pozór z powodu nicości tego światka, ale straszliwy z chwilą, gdy go ożywia jakiś wyższy interes. Otóż od dawna już nie pojawił się w sferze ich istnień wypadek równie doniosły i poważny jak walka księdza Birotteau, wspomaganego przez panią de Listomère, przeciwko księdzu Troubert i pannie Gamard. Domy, w których bywała panna Gamard, uważały za wrogi obóz salony pań de Listomère, de la Blottière i de Villenoix; na dnie tego sporu czaiły się wszystkie klasowe próżności. Była to walka ludu i senatu rzymskiego w kretowisku albo też burza w szklance wody, jak powiedział Monteskiusz o republice San – Marino, gdzie godności publiczne trwały tylko jeden dzień, tak łatwo było

tam zagarnąć tyranie. Bądź co bądź burza ta rodziła w duszach tyleż namiętności, ile byłoby ich trzeba, aby kierować największymi sprawami. Czyż nie jest błędem mniemać, że czas biegnie szybciej jedynie dla serc miotanych wielkimi zamiarami, które mać życie i doprowadzają je do wrzenia? Godziny księdza Troubert biegly równie żywo, umykały brzemienne myślami równie pełnymi trosk, były pomarszczone nadzieją i rozpaczą równie głęboką jak straszliwe godziny człowieka ambitnego, kochanka lub gracza. Sam Bóg zna sumę energii, jaką nas kosztują tajemnie odniesione tryumfy nad ludźmi, wypadkami i nad samym sobą. O ile nie zawsze wiemy, dokąd dążymy, znamy dobrze trudy podróży! Jeśli wolno jest historykowi porzucić dramat, który opowiada, aby objąć na chwile rolę krytyka, jeśli wam pokazuje na chwile życie tych starych panien i dwóch księży, aby tam poszukać przyczyn nieszczęścia, które je zatrulo w samej jego istocie, zrozumiecie może, że człowiek musi zaznać pewnych namiętności, aby rozwinąć w sobie przymioty uszlachetniające jego życie, rozszerzając jego sferę i dławiające egoizm wrodzony wszystkim stworzeniom.

Pani de Listomère wróciła do miasta nie wiedząc, że od kilku dni przyjaciele jej zmuszeni byli odpierać bajki obiegające o niej. Bajki te, z których uśmiełaby się, gdyby o nich wiedziała, podsuwały jej przywiązaniu do bratanka pobudki mocno podejrzanę. Zaprowadziła księdza Birotteau do adwokata, któremu proces nie wydał się rzeczą łatwą. Przyjaciele wikarego, spokojni o los dobrej sprawy lub opieszali w sporze nie tyczącym ich osobiście, odložyli rzecz na porę, gdy wrócą do Tours. Przyjaciele panny Gamard mogli tedy ich uprzedzić i umieli przedstawić rzecz w świetle nie korzystnym dla księdza Birotteau. Tak więc prawnik, którego klientela składała się wyłącznie z osób nabożnych, zdziwił wielce panią de Listomère radząc jej, aby się nie wdawała w podobny proces; oświadczył zresztą, że on nie podjął by się jego prowadzenia. Prawnie panna Gamard w myśl brzmienia aktu ma słuszość. Moralnie, to znaczy poza wykładem ściśle prawnym, w oczach trybunału i opinii ksiądz Birotteau okazałby się człowiekiem pozbawionym ducha pokoju, łagodności, zgody, sprzecznie z tym, co o nim mniemano dotychczas. Panna Gamard (mówił adwokat) wygodziła księdzu Birotteau pożyczając mu pieniądze na koszt połączone z testamentem księdza Chapeloud, i to bez kwitu. Ani wiek, ani charakter księdza Birotteau nie pozwalają przypuszczać, aby podpisał akt nie wiedząc, co zawiera, ani też nie znając jego wagi. Jeżeli opuścił dom panny Gamard po dwóch latach, gdy przyjaciel jego Chapeloud spędził tam lat dwanaście, a Troubert piętnaście, musiało to mieć jakieś pobudki jemu tylko znane; proces uznano by tedy za akt niewdzięczności etc. Podczas gdy Birotteau miał się ku wyjściu, adwokat odciągnął na bok panią de Listomère i zaklął ją w imię jej spokoju, aby się nie mieszała do tej sprawy.

Jednakże wieczorem biedny wikary, który męczył się tak, jak skazaniec męczy się w swej celi czekając na wynik apelacji, nie mógł się powstrzymać, aby nie opowiedzieć przyjaciółom rezultatu swojej wizyty, w chwili gdy przed partyjką wszyscy skupili się koło kominka.

– Wyjawszy adwokata liberałów, nie widzę w Tours prawnika, który by się podjął tego procesu, chyba z zamiarem przegrania go – wykrzyknął pan de Bourbonne. – Nie radzę się w to wdawać.

– W takim razie to jest nikczemność – rzekł porucznik okrętu. – Ja zaprowadzę księdza do tego adwokata.

– Idźcie tam, kiedy już będzie noc – przerwał mu pan de Bourbonne

– A to czemu?

– Dowiedziałem się przed chwila, że ksiądz Troubert otrzymał miejsce po generalnym wikariuszu, który umarł przedwczoraj.

– Kpię sobie z waszego księdza Troubert!

Nieszczęściem baron de Listomère, człowiek trzydziestosześcioletni, nie dojrzał znaku, jaki mu dał pan de Bourbonne zalecając mu, aby ważył swoje słowa, i wskazując radcę prefektury, przyjaciela księdza Troubert. Porucznik dodał:

– Jeżeli ksiądz Troubert jest łajdakiem...

– Och! – przerwał pan de Bourbonne – po co mieszać księdza Troubert do sprawy, której jest najzupełniej obcy?...

– Ależ – rzekł baron – czyż nie korzysta z mebli księdza Birotteau? Przypominam sobie, że byłem raz u księdza Chapeloud i widziałem tam dwa cenne obrazy. Przypuśćmy, że warte są dziesięć tysięcy franków... Czy sądzicie, że ksiądz Birotteau miał dać za dwa lata mieszkania u panny Gamard dziesięć tysięcy franków, kiedy już biblioteka i meble warte są w przybliżeniu tyleż?

Ksiądz Birotteau zrobił wielkie oczy dowiadując się, że posiadał tak olbrzymi kapitał; baron zaś podniecony dodał:

– Tam do licha! Pan Salomon, były ekspert paryskiego muzeum, przybył tu odwiedzić swoją teściową. Pójdę do niego jeszcze dziś wieczór z księdzem Birotteau poprosić go, aby oszacował obrazy. Stamtąd pójdziemy do adwokata.

W dwa dni po tej rozmowie proces był rzeczą postanowioną. Adwokat liberałów, objawszy sprawę księdza Birotteau, wiele przyczynił się do zwrotu opinii na niekorzyść wikarego. Ludzie przeciwni rządowi oraz ci, którzy znani byli jako niechętni księżom lub religii (dwie rzeczy, które wiele osób miesza), zajęli się tą sprawą, o której mówiło całe miasto. Były ekspert muzeum oszacował na jedenaście tysięcy franków *Madonnę Valentina* oraz *Chrystusa Lebruna*, obrazy pierwszorzędnej piękności. Co się tyczy biblioteki i gotyckich mebli, rosnący z każdym dniem w Paryżu szal do tych rzeczy dawał im chwilowo wartość dwunastu tysięcy.

Słowem, zbadawszy wszystko ekspert ocenił całe urządzenie na trzydzieści tysięcy franków. Jasne było, że Birotteau nie miał zamiaru darować pannie Gamard tej ogromnej sumy za tych trochę pieniędzy, jakie mogły jej przypaść. Zachodziła tedy potrzeba z r e a –

s u m o w a n i a, mówiąc prawniczo, umowy; inaczej stara panna stawała się winna rozmyślnego podejścia. Adwokat liberałów rozpoczął tedy sprawę od skargi przeciw pannie Gamard. Mimo iż bardzo jadowity, akt ten, poparty cytatami orzeczeń Najwyższego Trybunału oraz wzmocniony kilkoma paragrafami, był arcydziełem prawniczej logiki i potępiał starą pannę tak niezbićcie, iż opozycja rozdała po mieście kilkadziesiąt kopji skargi.

W kilka dni po rozpoczęciu kroków wojennych między starą panną a księdzem Birotteau baron de Listomère, który miał nadzieję zostać przy najbliższym awansie kapitanem korwety, otrzymał list, w którym jeden z przyjaciół oznajmił mu, że jest w ministerium mowa o tym, aby go w ogóle usunąć ze służby. Zdumiony tą wiadomością pojechał co rychlej do Paryża i wybrał się

do ministra, który sam wydał się mocno zdziwiony, ale roześmiał się z obaw barona. Nazajutrz, mimo zapewnień ministra, baron przepytał się w ministerium. Popelniając niedyskrecję w imię przyjaźni pewien sekretarz pokazał mu gotowy już referat, którego jedynie wskutek choroby dyrektora nie przedłożono ministrowi; referat ten potwierdzał fatalną wiadomość. Natychmiast baron de Listomère udał się do stryja, który będąc posłem miał sposobność widzieć bezzwłocznie ministra w Izbie. Prosił go, aby wybadał zamiary Ekscelencji, chodzi tu bowiem o całą jego przyszłość. Toteż z najwyższym niepokojem czekał w karecie końca posiedzenia. Poseł wyszedł o wiele przed końcem i w drodze do domu przemówił do siostrzeńca w te słowa:

– Co u licha! Ty się bawisz w jakieś wojny z księżmi? Minister oświadczył mi na wstępie, żeś ty stanął na czele liberałów w Tours! *M a s z f a t a l n e z a s a d y , n i e t r z y m a s z s i ę l i n i i r z ą d u*, etc. Prawił tak krętymi frazesami, jak gdyby przemawiał jeszcze w Izbie. Wówczas wypaliłem wręcz: „Gadajmyż po ludzku!” Ekscelencja wygadał się w końcu, że jesteś źle z konsystorzem. Krótko mówiąc, zasięgnąwszy języka u paru kolegów dowiedziałem się, że wyrażałeś się bardzo lekko o niejakim księdzu Troubert, prostym wikariuszu generalnym, ale zarazem najwybitniejszej figurze na całej prowincji, gdzie jest przedstawicielem Kongregacji. Zaręczyłem za ciebie ministrowi własną głową, mości bratanku, jeżeli chcesz dojść do czegoś, nie narażaj się księżom. Jedź prędko do Tours i pogódź się z tym diabelskim klechą. Dowiedz się, że generalni wikariusze to ludzie, z którymi trzeba zawsze żyć w zgodzie. Tam do licha! Kiedy my pracujemy wszyscy nad odbudową religii, idiotyczne jest, aby prosty porucznik okrętu, który chce zostać kapitanem, dyskredytował księży! Jeżeli się nie pogodzisz z księdzem Troubert, nie licz na mnie: zaprę się ciebie. Minister spraw kościelnych mówił ze mną przed chwilą o tym człowieku jako o przyszłym biskupie. Gdyby Troubert wziął na ząb naszą rodzinę, mógłby ubić moje parostwo przy najbliższych nominacjach. Rozumiesz?

Słowa te oświeciły porucznikowi okrętu tajemne zatrudnienia Trouberta, o którym Birotteau powiadał głupawo: „Nie wiem, nad czym on tak siedzi całe noce”.

Pozycja kanonika w senacie niewieścim, pełniącym tak subtelne funkcje prowincjonalnej policji, jak również zdolności jego osobiste ściągnęły nań oczy Kongregacji, która wybrała go na swego tajnego prokonsula na całą Turenię. Arcybiskup, generał, prefekt, wielcy i mali, wszyscy byli pod jego tajną władzą. Baron de Listomère szybko powziął decyzję.

– Nie mam ochoty – rzekł do stryja – otrzymać drugiego pasterskiego upomnienia.

W trzy dni po tej familijno – dyplomatycznej konferencji marynarz wróciwszy ekstrapocztą do Tours objaśnił ciotce niebezpieczeństwa, jakie grożą najdroższymi nadziejom rodziny Listomère, jeżeli będą nadal obstawać za *t y m c i e m i ę g ą B i r o t t e a u*. Baron zatrzymał pana de Bourbonne w chwili, gdy stary szlachcic ukończywszy partyjkę brał laskę i kapelusz. Doświadczenie „starego wygi” było nieodzowne dla oświecenia raf, wśród których znalazła się rodzina Listomère, „stary wyga” zaś jedynie po to tak wcześniej szukał laski i kapelusza, aby mu szepnięto do ucha:

– Niech pan zostanie, chcielibyśmy pomówić z panem.

Szybki powrót barona, jego zadowolona mina, to znów powaga malująca się chwilami na jego twarzy pozwoliły panu de Bourbonne domyślić się jakichś klęsk, które baron musiał ponieść w swojej kampanii przeciw spółce Gamard – Troubert. Nie okazał zdumienia słysząc z ust barona tajemnicę potęgi generalnego wikariusza i męża zaufania Kongregacji.

– Wiedziałem o tym – rzekł.

– Jak to! – wykrzyknęła baronowa. – Czemuż nas pan nie ostrzegł?

– Pani – odparł żywo – zapomnijcie, moi państwo, że ja odgadłem niewidzialny wpływ tego księdza, a ja zapomnę, że wy go znacie również. Gdybyśmy nie dochowali sekretu, uchodzilibyśmy za jego współników; lękano by się i znienawidzono by nas. Róbcie jak ja: udawajcie, że dajecie się omamić, ale wiedźcie, gdzie stawiacie nogi. Powiedziałem wam swego czasu dosyć w tej mierze, nie zrozumieliście mnie, a ja nie chciałem się narażać.

– Co teraz czynić? – rzekł baron.

Opuścić księdza Birroteau nie było nawet żadną kwestią; był to pierwszy warunek rozumiejący się sam przez się dla trojga deliberujących.

– Wykonać odwrót z honorami wojennymi było zawsze arcydziełem najzdolniejszych wodzów – odparł pan de Bourbonne. – Ukorzcie się przed Troubertem; jeżeli próżność jego silniejsza jest od nienawiści, zyskacie w nim sprzymierzeńca; ale jeżeli ukorzycie się zanadto, przejdzie po was, albowiem:

Złam wszystko raczej – to hasło Kościoła,

powiedział Boileau. Pan, panie baronie, udaj, że porzucasz służbę, a wymkniesz mu się z łap. Pani niech usunie wikarego z domu, dając tym samym wygraną pannie Gamard. Spotkawszy księdza Trouberta u arcybiskupa spyta go pani, czy grywa w wista: odpowie t a k. Zaprosi go pani na partyjkę do tego salonu, gdzie tak pragnąłby się dostać; przyjdzie z pewnością. Jest pani kobietą; niech się pani stara pozyskać tego księdza. Kiedy baron będzie kapitanem okrętu, jego wuj parem Francji, a Troubert biskupem, będziecie mogli zrobić sobie swojego Biroteau kanonikiem. Do tej pory ustępujcie, ale ustępujcie z wdziękiem i umiejąc grozić. Wasza rodzina może użyczyć Troubertowi tyle poparcia, ile on wam; porozumiecie się doskonale. Zresztą żegluj pan z sondą w rękę, panie marynarzu!

– Biedny Biroteau! – rzekła baronowa.

– Och! załatwcie go szybko – odparł szlachcic na odchodnym. – Gdyby jaki zręczny liberał opanował tę pustą głowę, mógłby wam narobić przykrości. Ostatecznie wyrok byłby na jego korzyść; toteż Troubert musi się bać sądu. Może wam jeszcze przebaczyć, żeście wszczęli walkę; ale po klęsce byłby nieubłagany. Rzekłem.

Puknął w tabakierkę, włożył kalosze i ruszył w drogę.

Nazajutrz rano po śniadaniu baronowa zostawszy sama z wikarym rzekła nie bez zakłopotania:

– Mój drogi księże Biroteau, prośba moja wyda się księdzu bardzo niekonsekwentna i bardzo niesprawiedliwa; ale trzeba, dla twego i dla naszego dobra, najpierw umorzyć proces z panną Gamard zrzekając się pretensji, a następnie opuścić mój dom.

Słyszając te słowa biedny ksiądz zbladł.

– Jestem – rzekła – niewinną przyczyną pańskich nieszczęść. Wiem, że bez mego bratanka nie byłby ksiądz wszczął procesu, który obecnie jest naszym wspólnym strapieniem. Ale niech ksiądz posłucha!

Przedstawiła mu zwięźle olbrzymią doniosłość tej sprawy i wytłumaczyła jej następstwa. Dumając w nocy baronowa odgadła przeszłość księdza Troubert; mogła tedy nieomylnie wskazać wikaremu sieci, w które go omotano, tak zręcznie przygotowawszy zemstę. Przedstawiła mu wysokie zdolności i wpływy jego wroga, wytłumaczyła mu jego nienawiść i jej przyczyny. Ukazała go, jak przez dwanaście lat płaszczył się przed księdzem Chapeloud, a równocześnie podgryzał go prześladując go jeszcze w osobie jego przyjaciela. Naiwny Birotteau złożył ręce jak do modlitwy i zapłakał ze zgryzoty na widok ohydy ludzkiej, której jego niewinna dusza nigdy nie podejrzewała. Przerażony tak, jak gdyby się znalazł na skraju przepaści, z martwymi i wilgotnymi oczami, niezdolny wyrzec słowa, słuchał przemowy swej dobrodziejki, która oświadczyła mu na zakończenie:

– Wiem, jak nieładnie jest opuścić cię, drogi księże; ale cóż, obowiązki rodzinne idą przed przyjaźnią. Ustąp jak ja tej burzy, będę ci umiała dowieść swej wdzięczności. Nie mówię księdzu o sprawach materialnych, biorę to na siebie. Będiesz na całe życie bez obawy o swoje potrzeby. Za pośrednictwem pana de Bourbonne, który będzie umiał ocalić pozory, postaram się, aby księdzu nie zbywało na niczym. Drogi przyjacielu, rozgrzesz mnie, pozwól, bym cię zdradziła. Zostanę twoją przyjaciółką naginając się do wymagań świata. Rozstrzygaj.

Biedny ksiądz w zdumieniu wykrzyknął:

– Chapeloud miał tedy słuszość powiadając, że gdyby Troubert mógł go wciągnąć za nogi do grobu, zrobiłby to! Sypia w łóżku mego Chapeloud!

– Nie pora na lamenty – rzekła pani de Listomère – mamy niewiele czasu. Cóż więc?

Birotteau zbyt był poczciwy, aby nie iść w ważnych momentach za odruchem serca. Zresztą jego życie było już tylko agonią. Spojrzał na swą projektorkę rozpaczliwym wzrokiem, który ją zasmucił i rzekł:

– Zdaję się na panią. Ze mnie już kawałek śmiecia porzucony na ulicy! Tylko, pani baronowo – dodał – nie chciałbym pozostawić Troubertowi portretu mego księdza Chapeloud; robiony był dla mnie, należy do mnie, niech pani uzyska to, aby mi go oddano, zrzekam się reszty.

– A więc – rzekła pani de Listomère – pójdę do panny Gamard.

Ton, jakim wyrzekła te słowa, świadczył o wysiłku, jaki czyniła baronowa de Listomère zniżając się do rokowań z ambitną starą panną.

– Spróbuję – dodała – wszystko jakoś ułożyć. Zaledwie śmiem mieć nadzieję. Niech ksiądz idzie do pana de Bourbonne, aby sporządził pańskie formalne zrzeczenie, niech mi ksiądz przyniesie ten akt; po czym z pomocą arcybiskupa uda się nam może to załatwić.

Birotteau wyszedł przerażony. Troubert urósł w jego oczach do rozmiarów egipskiej piramidy. Ręce tego człowieka były w Paryżu, a łokcie w klasztorze Św. Gracjana.

– On – mówił sobie – przeszkodziłby margrabiemu de Listomère zostać parem Francji?... „I może z pomocą arcybiskupa uda się to załatwić!”

W obliczu tak wielkich spraw Birotteau czuł się robakiem: poddał się losowi.

Nowina o przenosinach księdza Birotteau wywołała zdumienie tym większe, iż nikt nie umiał odgadnąć przyczyny. Pani de Listomère mówiła, że bratanek się żeni i rzuca służbę: trzeba tedy rozszerzyć apartament. Nikt nie wiedział jeszcze o zrzeczeniu się księdza. Toteż instrukcje pana de Bourbonne wykonano skrupulatnie. Te dwie nowiny, które doszły do uszu wielkiego wikariusza musiały pogłaskać jego miłość własną dowodząc mu, że jeżeli rodzina Listomère nie kapituluje, to przynajmniej zostaje neutralna i uznaje milcząco tajną władzę Kongregacji. Uznać ją czyż nie znaczy poddać się jej? Ale proces znajdował się *sub iudice*. Czyż to nie znaczyło równocześnie ugiąć się i grozić?

Listomèrowie zajęli tedy w tej sprawie stanowisko zupełnie podobne jak wielki wikariusz: zostali zewnątrz i mogli wszystkim kierować. Ale zaszło ważne wydarzenie, które utrudniło sukces planu mającego na celu ułagodzenie stronnictwa Gamard – Troubert. Poprzedniego dnia panna Gamard zaziębiła się wychodząc z katedry; położyła się do łóżka widocznie ciężko chora. Całe miasto rozbrzmiewało lamentami fałszywego współczucia. „Serce panny Gamard nie mogło wytrzymać tego skandalicznego procesu. Mimo słuszych praw umrze ze zmartwienia. Birotteau zabił swoją dobrodziejkę...”. Taka była treść zdań sączonych włoskowatymi naczyniami wielkiego zboru niewieściego i skwapliwie powtarzanych przez całe Tours.

Panią de Listomère spotkał ten wstyd, iż wybrawszy się do starej panny nie zabrała żadnego owocu swej wizyty. Zapytała bardzo grzecznie o generalnego wikariusza.

Troubert rad był może, iż może przyjąć – w bibliotece księdza Chapeloud i przy tym kominku ozdobionym dwoma słynnymi obrazami będącymi przedmiotem sporu – kobietę, która nie doceniła go niegdyś. Wytrzymał baronową chwilę, po czym zgodził się użyć jej audiencji. Nigdy żaden dworak ani dyplomata prowadzący swoje prywatne sprawy lub też państwowe negocjacje nie rozwinęli w rokowaniach więcej zręczności, obłudy, rozumu, niż ich okazali baronowa i ksiądz Troubert, skoro znaleźli się oko w oko.

Podobno ojcu chrzestnemu, który w średnich wiekach zbroił zapaśnika i krzepił go pożytecznymi radami w chwili wstąpienia w szranki, „stary wyga” powiedział baronowej:

– Niech pani nie zapomni swej roli: jest pani osobą pośredniczącą, a nie s t r o n ą. Troubert jest również pośrednikiem. Waż pani swoje słowa, bacz na każdy odcień jego głosu. Jeżeli się pogłaska po brodzie, znaczy, żeś pani dopięła swego.

Czasami rysownicy przedstawiali dla zabawy w karykaturze częsty kontrakt między tym, co się mówi, a tym, co się myśli. Tutaj, aby dobrze oświetlić ten pojedynek na słowa między księdzem a wielką damą, konieczne jest odsłonić myśli, jakie ukrywali sobie wzajem pod nieznaczącymi na pozór zdaniami.

Pani de Listomère wyraziła ubolewanie nad procesem, po czym wspomniała, jak bardzo pragnęłaby, aby ta sprawa zakończyła się ku zadowoleniu obu stron.

– Zło się stało, pani – rzekł ksiądz poważnie – cnotliwa panna Gamard umiera.. („Tyle mnie obchodzi to głupie dziewczysko, co zeszłoroczny śnieg – myślał – ale chciałbym wam wpakować na grzbiet jej śmierć i zmaćć wasze sumienie, o ile będziecie tak głupi, aby się tym przejmować”).

– Dowiedziawszy się o tej chorobie – odparła baronowa – wymogłam na ks. wikarym zrzeczenie się pretensji, które właśnie przyniosłam tej świątobliwej panience. („Odgaduję cię, szczywany łajdak! – myślała. – Ale to nas ubezpiecza od twoich potwarzy. Co do ciebie, jeżeli przyjmiesz zrzeczenie, wpakujesz się, przyznasz się tym samym do współnictwa”).

Nastąpiła chwila milczenia.

– Sprawy doczesne panny Gamard nie obchodzą mnie – rzekł wreszcie ksiądz opuszczając grube powieki na swoje orle oczy, aby ukryć wzruszenie. („Ha! ha! nie wpakujecie mnie! Ale, Bogu dzięki, przekleci adwokaci nie będą rozmazywali sprawy, która mogłaby mnie poplamieć. Czegoż oni chcą, ci Listomère, że się tak płaszczą przede mną?”).

– Ojciec wielbny – odparła baronowa – sprawy księdza Birotteau są mi równie dalekie, jak ojcu sprawy panny Gamard; ale, na nieszczęście, religia może ucierpieć w tym sporze. Widzę tu w tobie, wielbny ojciec jedynie mediatora, jak i ja sama działałam jedynie w duchu jednania... („Nie oszukamy się nawzajem, księżulku – myślała. – Czy czujesz szpileczkę pod tą odpowiedzią?”).

– Religia może ucierpieć? – rzekł wielki wikariusz. – Religia jest zbyt wysoko, aby ludzie mogli jej dosięgnąć. („Religia to ja” – myślał).

Bóg nas osądzi bez omyłki, pani – dodał – uznaję tylko Jego trybunał.

– Zatem, wielbny ojciec – odparła – starajmy się pogodzić sądy ludzi z sądami Boga. („Tak, religia to ty”).

Ksiądz Troubert odmienił ton:

– Podobno pani bratanek jeździł do Paryża? („Dowiedzieliście się tam o mnie – myślał. – Mogę was zmiażdżyć, was, coście mną wzgardzili. Przychodzicie się ugiąć”).

– Owszem, proszę ojca; dziękuję, że się ojciec raczy nim interesować. Wracając dziś wieczór do Paryża, wezwał go minister, który ma dla nas wiele życzliwości i chciałby go odwieźć od zamiaru porzucenia służby. („Nie zmiażdżysz nas, jezuito – myślała – ale zrozumiałam twój żarcik”).

Chwila milczenia.

– Nie uważam za właściwe jego postępowanie w tej sprawie, ale trzeba wybaczyć marynarzowi, że się nie rozumie na kodeksie. („Uczyńmy sojusz – myślała. – Nic nie zyskamy na tym, aby wojować z sobą”).

Lekki uśmiech księdza zginął w fałdach jego twarzy.

– Oddał nam tę usługę, że nam uświadomił wartość tych dwóch malowideł – rzekł ksiądz spoglądając na obrazy. – Będą piękną ozdobą kaplicy Najśw. Panny („Wsunęłaś mi szpileczkę, masz oto dwie; skwitowaliśmy się, moja pani”).

– Gdyby je ojciec zamierzał darować katedrze, prosiłabym, aby mi wolno było ofiarować ramy godne miejsca i dzieła. („Rada bym wydobyć z ciebie wyznanie, że chciałeś zagarnąć meble księdza Birotteau” – myślała).

– Nie należą do mnie – rzekł ksiądz wciąż mając się na baczności.

– Oto – rzekła pani de Listomère – akt, który przecina wszelką dyskusję i oddaje je pannie Gamard. – Położyła zrzeczenie na stole. – („Widzisz, księżo – myślała – jakie ja mam do ciebie zaufanie”). Godne jest ciebie, ojciec – dodała – godne twego pięknego charakteru pojednać dwoje chrześcijan. Mimo że obecnie mało interesuję się księdzem Birotteau...

– Mieszka u pani – przerwał ksiądz Troubert.

- Już nie mieszka. („Parostwo mego szwagra i awans bratanka kosztują mnie wiele nikczemności” – myślała).

Ksiądz siedział bez ruchu, ale jego spokój zdradzał najgwałtowniejsze wzruszenia. Jeden pan de Bourbonne odgadł tajemnicę tego pozornego spokoju. Ksiądz tryumfował!

- Czemu tedy podjęła się pani doręczyć jego zrzeczenie – spytał party tym samym uczuciem, które każe kobiecie kazać sobie powtarzać komplementy.

- Nie mogłam się obronić współczuciu. Ksiądz Birotteau, którego słaby charakter musi być ojcu znany, błagał mnie, abym poszła do panny Gamard i uzyskała za cenę jego rezygnacji...

Ksiądz zmarszczył brwi.

- ...Rezygnacji ze swoich p r a w, uznanych przez wybitnych adwokatów, portret...

Ksiądz spojrzał na panią de Listomère.

- Portret księdza de Chapeloud – ciągnęła. – Poddaję uznaniu ojca jego żądanie... („Przegrałbyś, gdybyś chciał się procesować” – myślała).

Akcent, jaki położyła na słowach: „wybitnych adwokatów”, objaśnił księdzu, że baronowa zna silne i słabe strony wroga. W ciągu tej rozmowy, która utrzymała się dłuższy czas w tym tonie, pani de Listomère olśniła starego znawcę takim talentem, iż ksiądz zeszedł do panny Gamard, aby uzyskać jej odpowiedź na ofiarowaną transakcję.

Troubert wrócił niebawem.

- Pani – rzekł – oto słowa biednej umierającej: „Ksiądz Chapeloud okazywał mi zbyt wiele przyjaźni – rzekła – abym się mogła rozstać z jego portretem”. Co do mnie – rzekł – gdyby był moją własnością, nie ustąpiłabym go nikomu. Żywiłem zbyt trwałe uczucia dla drogiego zmarłego, abym się nie miał czuć w prawie do walczenia o jego portret z całym światem.

- Ojcze, n i e p o r ó ż n i m y s i ę przecież dla lichego portretu. („Kpię sobie z niego tak samo jak i ty – myślała). Niech go ojciec zachowa, damy sporządzić kopię. Cieszę się, żem umorzyła ten przykry i oplakany proces; osobiście zyskałam na tym przyjemność poznania ojca. Słyszałam wiele o talentach ojca w grze w wista. Daruje ojciec kobiecie, że jest ciekawa – rzekła z uśmiechem. – Gdyby ojciec zechciał zająć do mnie czasami na partyjkę, nie wątpi ojciec o przyjęciu, z jakim by się spotkał.

Troubert pogładził się po brodzie. („Mam go! Bourbonne miał słuszość – pomyślała – ma swoją słabą stronę: próżność”).

W istocie, wielki wikariusz doznawał w tej chwili rozkosznego uczucia, któremu Mirabeau¹⁶ nie umiał się obronić, kiedy w dniach swej potęgi ujrzał, jak się otwiera przed jego powozem brama pałacu niegdyś dlań zamknięta.

- Pani margrabino – odparł – zbyt ważne ciążą na mnie obowiązki, abym miał czas na wizyty; ale czegoż by się nie zrobiło dla pani? („Stara panna klapnie, ja się uczepię Listomère’ów i pójde im na rękę, jeżeli oni pójda mnie na rękę! – myślał. – Lepiej jest mieć w nich przyjaciół niż wrogów”).

Pani de Listomère wróciła do siebie w nadziei, iż arcybiskup dokończy tak szczęśliwie rozpoczętego dzieła pokoju. Ale Birotteau nie miał nawet skorzystać ze swego zrzeczenia. Nazajutrz pani de Listomère dowiedziała się o śmierci panny Gamard. Kiedy otwarto testament starej panny, nikt się nie

¹⁶ Honoré - Gabriel de Mirabeau (1749-1791) – wódz szlachty opozycyjnej i wielkiej burżuazji podczas rewolucji r. 1789, przekupiony przez dwór królewski, prowadził dwulicową grę.

zdziwił dowiadując się, że uczyniła księdza Troubert generalnym spadkobiercą. Majątek jej oszacowano na trzysta tysięcy. Generalny wikariusz posłał do pani de Listomère dwa zaproszenia na mszę żałobną i na kondukt: jedno dla niej, drugie dla jej bratanka.

– Trzeba iść – rzekła.

– Wyraźnie daje to do zrozumienia! – wykrzyknął pan de Bourbonne. – Jest to próba, wedle której wielebny Troubert chce was osądzić. Baronie, idź aż na cmentarz – dodał zwracając się do porucznika okrętu, który na swoje nieszczęście nie wyjechał.

Nabożeństwo odbyło się z pompą godną osoby duchownej. Jeden tylko z uczestników płakał. Był to Birotteau, który sam, w ustronnej kaplicy, nie widziany przez nikogo, poczuł się winny tej śmierci i modlił się szczerze za duszę zmarłej, żalując gorzko, że nie uzyskał od niej przebaczenia za swoje winy. Ksiądz Troubert odprowadził swą przyjaciółkę aż do dołu, w którym ją miano pogrzebać. Stanąwszy nad grobem wygłosił mowę żałobną, w której dzięki jego talentowi obraz ciasnego życia, jakie wiodła jego dobrodziejka, nabrał monumentalnych rozmiarów. Obecni zauważyli zwłaszcza te słowa:

„To życie pełne dni poświęconych Bogu i religii, to życie strojne w tyle pięknych uczynków spełnianych w ciszy, w tyle pięknych cnót skromnych i nieznanymi zламаła boleść, którą nazwalibyśmy niezasłużoną, gdyby na skraju wieczności wolno nam było zapomnieć, że wszystkie nasze strapienia zesłane są od Boga. Liczni przyjaciele tej świętej pani, znając szlachetność i czystość jej duszy, przewidywali, że zdolna jest wszystko znieść wyjąwszy podejrzenie rzucających cię na całe jej życie. Dlatego też Opatrzność zabrała ją na swe łono, aby ją zbawić od naszych nędz. Szczęśliwi ci, którzy mogą spoczywać tu na ziemi w pokoju duszy, tak jak Zofia spoczywa teraz w siedzibie błogosławionych w sukience swej niewinności!”

– Kiedy skończył tę pompatyczną mowę – dodał pan de Bourbonne, który opowiedział szczegóły pogrzebu pani de Listomère, w chwili gdy po skończeniu partyjki i przy zamkniętych drzwiach znalazł się sam z nią i z baronem – wyobraźcie sobie, jeżeli możliwe, tego Ludwika XI¹⁷ w sutannie, zadającego ostatni cios kropidłem zmaczanym w święconej wodzie.

Pan de Bourbonne wziął szczypce i oddał tak dobrze gest księdza Troubert, że baron i jego ciotka nie mogli się wstrzymać od śmiechu.

– Tu jedynie – ciągnął stary obywatel – zdradził się. Dotąd zachowanie się jego było wzorowe; ale kiedy grzebał na zawsze tę starą pannicę, którą gardził szczerze i której nienawidził może tyleż co nieboszczyka Chapeloud, niepodobna mu było nie zdradzić swej radości jakimś gestem.

Nazajutrz rano panna Salomon przysłała na śniadanie do pani de Listomère. Ledwie weszła, rzekła mocno wzruszona: – Nasz biedny ksiądz Birotteau otrzymał przed chwilą straszliwy cios świadczący o najbardziej wyrachowanej i złośliwej nienawiści. Mianowano go proboszczem Św. Symforiana.

Św. Symforian jest to przedmieście Tours położone za mostem. Most ten, jeden z najpiękniejszych pomników francuskiej architektury, ma tysiąc dziewięćset stóp długości, a dwa palce, które go zamykają z obu stron, są zupełnie jednakowe.

¹⁷ Ludwik XI (panował 1461– 1482) – król francuski, okrutny i mściwy, niezwykle zręczny polityk, wzmocnił władzę królewską.

– Rozumie droga pani? – podjęła po pauzie zdumiona chłodem, z jakim pani de Listomère przyjęła tę nowinę. – Birotteau będzie tam jakby o sto mil od Tours, od swoich przyjaciół, od wszystkiego. Czyż to nie jest wygnanie, tym okropniejsze, że wyrywa go z miasta, które oczy będą codziennie oglądały i gdzie nie będzie mógł już prawie bywać. On, który od czasu swoich nieszczęść ledwie może chodzić, musiałby robić całą milę, aby nas odwiedzić. W tej chwili biedaczysko leży w łóżku, ma gorączkę. Plebania Św. Symforiana jest zimna, wilgotna, a parafia jest zbyt uboga, aby mogła ją odrestaurować. Biedny starzec znajdzie się w prawdziwym grobie. Cóż za okropny pomysł!

A teraz wystarczy nam może dla dokończenia tej historii przytoczyć po prostu kilka wydarzeń i naszkicować ostatni obraz.

W pięć miesięcy później generalny wikariusz został biskupem. Pani de Listomère umarła i zapisała księdzu Birotteau tysiąc pięćset franków renty. W dniu, w którym otwarto testament baronowej, Jego Eminencja Hiacynt, biskup Troyes, miał właśnie opuścić Tours, aby się udać do swej diecezji; ale opóźnił wyjazd. Wściekły, że się dał oszukać kobiecie, której on podał rękę, gdy ona podawała tajemnie dłoń jego wrogowi, Troubert na nowo zagroził przyszłości barona oraz parostwu margrabiego de Listomère. W licznym zebraniu w salonie arcybiskupa rzucił jedno z owych „duchownych” słówek, brzemiennych zemstą a pełnych oblesnej słodyczy. Ambitny marynarz udał się do nieubłaganego księdza, który z pewnością podyktował mu twarde warunki, zachowanie bowiem barona świadczyło o zupełnym poddaniu woli straszliwego kongreganisty. Nowy biskup darował prawomocnym aktem dom panny Gamard kapitulę; bibliotekę i książki księdza Chapeloud darował seminarium; dwa zakwestionowane obrazy ofiarował kaplicy Najśw. Panny; zatrzymał jedynie portret księdza Chapeloud. Nikt nie umiał sobie wytłumaczyć tego zupełnego niemal zrzeczenia się sukcesji po panie Gamard. Pan de Bourbonne przypuszczał, że biskup zachował tajemnie gotowiznę, aby móc żyć na przyzwoitej stopie w Paryżu, w razie gdyby go powołano na ławę biskupów w senacie. Wreszcie, w wilię wyjazdu Jego Eminencji „stary wyga” przeniknął ostatnią rachubę, jak się kryła w tym uczynku, śmiertelny cios zadany przez najwytrwalszą zemstę najsłabszej z bezbronnych ofiar. Baron de Listomère zaczął zapis uczyniony przez panią de Listomère księdzu Birotteau pod pozorem wyłudzenia! W kilka dni po wniesieniu skargi barona mianowano kapitanem okrętu. Zarządzeniem dyscyplinarnym proboszcza Św. Symforiana zawieszono w jego funkcjach. Przełożeni kościelni osadzili proces z góry. Morderca nieboszczki Zofii Gamard był tedy łotrem! Gdyby Eminencja Troubert zachował spadek po starej panie, trudno byłoby skazać księdza Birotteau.

W chwili gdy Jego Eminencja Hiacynt, biskup Troyes, mijał w kolasce pocztowej dzielnicę Św. Symforiana udając się do Paryża, biednego księdza Birotteau posadzono w fotelu na słońcu na tarasie. Biedny ksiądz, zmiażdżony przez arcybiskupa, był blady i wychudły. Zgryzota odcisnięta we wszystkich jego rysach zmieniła zupełnie tę twarz niegdyś tak pogodną. Choroba powlekła jego oczy niegdyś naiwnie ożywione rozkoszami dobrej kuchni i wolne od troski; zasnuła je zasłona, która udawała myśl. Był to szkielet owego Birotteau, który rok wprzód toczył się tak pusty, ale tak zadowolony, przez uliczki Klasztoru. Biskup obrzucił swoją ofiarę spojrzeniem wzgardy i litości; po czym raczył zapomnieć o nim i pojechał dalej.

Nie ma wątpienia, iż Troubert byłby w innych czasach Hildebrandem albo Aleksandrem VI¹⁸. Dziś Kościół nie jest już potęgą polityczną i nie spożytkuje sił swoich samotników. Celibat ma tę kapitalną wadę, iż skupiając wartości człowieka na jedną namiętność, egoizm, czyni ludzi bezżennych albo szkodliwymi, albo bezużytecznymi. Żyjemy w epoce, w której rządy (i to ich wada) nie tyle urządzają społeczeństwo dla człowieka, ile człowieka dla społeczeństwa. Istnieje nieustanna walka jednostki przeciw systemowi, który ją chce wyzyskać, a który ona chce wyzyskać na swoją korzyść, gdy niegdyś człowiek, w istocie bardziej wolny, okazywał się bardziej szczodry dla sprawy publicznej. Krag , w którym poruszają się ludzie, rozszerzył się nieznacznie: dusza, która zdolna jest objąć jego syntezę, będzie zawsze tylko wspaniałym wyjątkiem; zazwyczaj bowiem, w świecie moralnym jak w świecie fizycznym, ruch traci na sile to, co zyskuje na przestrzeni. Społeczeństwo nie może się wspierać na wyjątkach. Najpierw człowiek był po prostu tylko i wyłącznie ojcem i serce jego było gorąco, skupione w sferze rodziny. Później żył dla klanu lub dla małej republiki: stąd wielkość Grecji lub Rzymu. Następnie był człowiekiem kasty lub religii dla której umiał się okazać wyniosły; ale tu krag jego interesów pomnożył się o wszystkie strefy intelektualne. Dziś życie jego związane jest z życiem olbrzymiej ojczyzny; niebawem, powiadają, ojczyzną jego będzie cały świat. Czyżby ten kosmopolityzm moralny, nadzieja chrześcijańskiego Rzymu nie był wzniosłą omyłką? Tak naturalne jest wierzyć w zniszczenie szlachetnej mrzonki, w braterstwo ludzi. Ale niestety! istota ludzka nie ma tak boskich proporcji. Dusza dość obszerna, aby ogarnąć uczucia przeznaczone tylko dla wielkich ludzi, nie będzie nigdy duszą zwykłego obywatela ani ojca rodziny. Niektórzy fizjologowie sądzą, iż kiedy mózg tak się rozprzestrzenia, serce musi się ścieśniać. Fałsz! Pozorny egoizm ludzi, którzy noszą naukę, naród albo prawa w swoim łonie, czyż to nie jest najszlachetniejszą z namiętności, poniekąd macierzyństwo mas? Aby porodzić nowe ludy lub aby wydać nowe idee, czyż nie trzeba im skojarzyć w swych potężnych głowach wymion kobiety z potęgą Boga? Historia Innocentych III, Piotrów Wielkich i wszystkich ludzi prowadzących epokę lub naród posłużyłaby w potrzebie, w sferze bardzo wysokiej, za przykład owej olbrzymiej myśli, którą Troubert wcielał w klasztorze Św. Gracjana.

Saint-Firmin, kwiecień 1832.

¹⁸ Hildebrand (papież Grzegorz VII, 1073–1085) – jeden z najgłośniejszych papieży średniowiecza, prowadził długotrwałą walkę o wyższość władzy duchownej nad świecką; Aleksander VI (Rodrigo Borgia, 1431–1503) – papież od 1492 r., okrutny, nie przebiegający w środkach polityk.

